

Prorocy przebaczenia i bezinteresowności

W dzisiejszych czasach, gdy wiadomości dzień po dniu donoszą o konfliktach, wojnach i nienawiści, jakże wielkie jest ryzyko, że my, jako wierzący, zostaniemy wciągnięci w interpretację wydarzeń, która sprowadza się jedynie do poziomu politycznego, albo ograniczymy się do zajęcia stanowiska po jednej lub drugiej stronie, posługując się argumentami, które mają związek z naszym sposobem postrzegania rzeczy, z naszym sposobem interpretowania rzeczywistości.

W mowie Jezusa, która następuje po błogosławieństwach, znajduje się seria „małych/wielkich lekcji”, które Pan oferuje. Zawsze zaczynają się od wersetu „Słyszeliście, że powiedziano”. W jednej z nich Pan przypomina starożytne powiedzenie „oko za oko i ząb za ząb” (Mt 5,38).

Poza logiką Ewangelii, to prawo nie tylko nie jest kwestionowane, ale może być nawet traktowane jako zasada, która wyraża sposób wyrównywania rachunków z tymi, którzy nas obrazili. Zemsta jest postrzegana jako prawo, a nawet obowiązek.

Jezus staje przed tą logiką z propozycją całkowicie odmienną, całkowicie przeciwną. Na to, co usłyszeliśmy, Jezus mówi nam: „A Ja wam powiadam” (Mt 5,39). I tutaj jako chrześcijanie musimy być bardzo ostrożni. Słowa Jezusa, które następują, są ważne nie tylko same w sobie, ale dlatego, że w bardzo syntetyczny sposób wyrażają całe Jego przesłanie. Jezus nie przychodzi, aby nam powiedzieć, że istnieje inny sposób interpretowania rzeczywistości. Jezus nie zbliża się do nas, aby poszerzyć spektrum opinii na temat rzeczywistości ziemskich, w szczególności tych, które dotyczą naszego życia. Jezus nie jest kolejną opinią, ale On sam ucieleśnia alternatywną propozycję dla prawa zemsty.

Zwrot „a Ja wam powiadam” ma fundamentalne znaczenie, ponieważ

teraz nie jest to już wypowiedziane słowo, ale sama osoba Jezusa. To, co Jezus nam przekazuje, On sam przeżywa. Kiedy Jezus mówi: „nie stawiajcie oporu złemu; a jeśli ktoś cię uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi” (Mt 5,39), te same słowa przeżył osobiście. Z pewnością nie możemy powiedzieć o Jezusie, że dobrze naucza, ale źle czyni w swoim przesłaniu.

Wracając do naszych czasów, te słowa Jezusa mogą być postrzegane jako słowa osoby słabej, reakcje kogoś, kto nie jest już w stanie reagować, a jedynie cierpieć. I rzeczywiście, kiedy patrzymy na Jezusa, który całkowicie oddaje się na drzewie Krzyża, takie wrażenie możemy odnieść. A jednak doskonale wiemy, że ofiara na krzyżu jest owocem życia, które zaczyna się od zdania „a Ja wam powiadam”. Ponieważ wszystko, co Jezus nam powiedział, On sam w pełni przyjął. I przyjmując to w pełni, zdołał przejść od krzyża do zwycięstwa. Logika Jezusa pozornie komunikuje osobowość przegraną. Ale doskonale wiemy, że przesłanie, które Jezus nam zostawił i które On sam w pełni przeżył, jest lekarstwem, którego ten świat dziś naprawdę potrzebuje.

Być prorokami przebaczenia oznacza przyjmować dobro jako odpowiedź na zło. Oznacza mieć determinację, że moc złego nie będzie warunkować mojego sposobu postrzegania i interpretowania rzeczywistości. Przebaczenie nie jest odpowiedzią słabego. Przebaczenie jest najbardziej wymownym znakiem tej wolności, która jest zdolna rozpoznać rany, które zło pozostawia za sobą, ale te same rany nigdy nie będą prochem, który podsycza zemstę i nienawiść.

Reagowanie na zło złem tylko poszerza i pogłębia rany ludzkości. Pokój i zgoda nie rosną na gruncie nienawiści i zemsty.

Być prorokami bezinteresowności wymaga od nas zdolności patrzenia na ubogich i potrzebujących nie z logiką zysku, ale z logiką miłości. Ubogi nie wybiera bycia ubogim, ale ten, kto ma się dobrze, ma możliwość wyboru bycia hojnym, dobrym i

pełnym współczucia. Jakże inny byłby świat, gdyby nasi przywódcy polityczni w tym scenariuszu, gdzie rosną konflikty i wojny, mieli rozsądek, aby spojrzeć na tych, którzy płacą cenę w tych podziałach, a są to ubodzy, marginalizowani, ci, którzy nie mogą uciec, bo nie dają rady.

Jeśli zaczniemy od czysto horyzontalnej interpretacji, można się załamać. Nie pozostaje nam nic innego, jak zamknąć się w naszych narzekaniach i krytyce. A jednak, nie! Jesteśmy wychowawcami młodzieży. Dobrze wiemy, że ci młodzi ludzie w naszym świecie szukają punktów odniesienia zdrowej ludzkości, przywódców politycznych zdolnych interpretować rzeczywistość według kryteriów sprawiedliwości i pokoju. Ale kiedy nasi młodzi ludzie rozglądają się wokół, dobrze wiemy, że dostrzegają jedynie pustkę ubogiej wizji życia.

My, którzy angażujemy się w edukację młodzieży, mamy ogromną odpowiedzialność. Nie wystarczy komentować ciemności, którą pozostawia niemal całkowity brak przywództwa. Nie wystarczy komentować, że nie ma propozycji, które byłyby w stanie rozpalić pamięć młodych ludzi. Do każdego z nas należy zapalenie tej świecy nadziei w tej ciemności, oferowanie przykładów udanej ludzkości w codziennym życiu.

Naprawdę warto dziś być prorokami przebaczenia i bezinteresowności.

Ksiądz Bosko ze swoimi salezjanami

Jeśli ze swoimi chłopcami ksiądz Bosko radośnie żartował, widząc ich radosnych i pogodnych, to żartując ze swoimi salezjanami ujawniał szacunek, jakim ich darzył, pragnienie, aby tworzyli z nim jedną wielką rodzinę, owszem ubogą, ale ufającą Bożej Opatrzności, zjednoczoną w wierze i miłości.

Lenna księdza Bosko

W 1830 r. Małgorzata Occhiena, wdowa po Franciszku Bosko, dokonała podziału majątku odziedziczonego po mężu między pasierba Antoniego i dwóch synów Józefa i Jana. Składał się on między innymi z ośmiu działek jako łąki, pola i winnicy. Nie znamy dokładnych kryteriów, jakimi kierowała się Mama Małgorzata, dzieląc spadek po ojcu między całą trójkę. Jednak wśród działek znajdowała się winnica w pobliżu Becchi (w Bric dei Pin), pole w Valcapone (lub Valcappone) i inne w Bacajan (lub Bacaiau). W każdym razie te trzy ziemie stanowią źródło „lenn”, czasami żartobliwie nazywanymi tak przez księdza Bosko jego własności.

Becchi, jak wszyscy wiemy, to mały przysiółek wioski, w której urodził się ksiądz Bosko; Valcappone (lub Valcapone) to miejsce na wschód od Colle pod Serra di Capriglio, ale w dolinie, na obszarze znanym jako Sbaruau (= straszydło), ponieważ było gęsto zalesione z kilkoma chatami ukrytymi wśród gałęzi, które służyły jako miejsce przechowywania prania i jako schronienie dla złodziejasków. Bacajan (lub Bacaiau) było polem na wschód od Colle, między działkami Valcapone i Morialdo. Oto „lenna” księdza Bosko!

Pamiętniki biograficzne mówią, że przez pewien czas ksiądz Bosko „nadawał” tytuły szlacheckie swoim świeckim współpracownikom. Był więc hrabia Becchi, markiz Valcappone, baron Bacaiau, trzy ziemie, które ksiądz Bosko musiał znać jako część swojego dziedzictwa. Tymi tytułami zwykł nazywać Rossi, Gastini, Enria, Pelazza, Buzzetti, nie tylko w domu, ale także poza nim, zwłaszcza gdy podróżował z niektórymi z nich (MB VIII, 198-199).

Wśród tych „szlachetnych” salezjanów wiemy na pewno, że hrabią Becchi (lub Bricco del Pino) był Giuseppe Rossi, pierwszy świecki salezjanin lub „koadiutor”, którego ksiądz Bosko kochał jak własnego syna i który był mu wierny na zawsze.

Pewnego dnia ksiądz Bosko udał się na stację Porta Nuova, a Giuseppe Rossi towarzyszył mu niosąc jego walizkę. Przybyli na miejsce, gdy pociąg miał już odjeżdżać, a wagony były przepełnione ludźmi. Ksiądz Bosko, nie mogąc znaleźć miejsca

siedzącego, zwrócił się do Rossiego i donośnym głosem powiedział mu:

– Ach, panie Hrabio, żałuję, że zadaje sobie Pan tyle trudu!

– Księżę Bosko, to dla mnie zaszczyt!

Niektórzy podróżni przy oknach, słysząc te słowa „Panie Hrabio” i „ksiądz Bosko”, spojrzeli na siebie ze zdumieniem, a jeden z nich krzyknął z powozu:

– Ksiądz Bosko! Panie Hrabio! Proszę usiąść, są jeszcze dwa miejsca!

– Ależ ja nie chcę przeszkadzać – odparł ksiądz Bosko.

– Proszę usiąść! To dla nas zaszczyt. Zbiorę walizki, zmieszczą się wszystkie!

I tak „hrabia Becchi” mógł wsiąść do pociągu z księdzem Bosko i walizką.

Pompy i szálas

Ksiądz Bosko żył i umarł biednie. Jedzeniem zadowalał się bardzo mało. Nawet kieliszek wina to było dla niego za dużo i zazwyczaj je rozwadniał.

Często zapominał o picciu, ponieważ był pochłonięty innymi myślami, i to jego sąsiedzi przy stole nalewali mu do kieliszka. A potem, jeśli wino było dobre, natychmiast szukał wody, „żeby smakowało lepiej”, mówił. I dodawał z uśmiechem: „Wyrzekłem się świata i diabła, ale nie pomp”, nawiązując do pomp, które czerpią wodę ze studni (MB IV, 191-192).

Wiemy także, jak wyglądało jego mieszkanie. 12 września 1873 r. odbyła się Rada Wyższa Salezjanów, aby ponownie wybrać ekonoma i trzech radnych. Przy tej okazji ksiądz Bosko wypowiedział pamiętne i prorocze słowa na temat rozwoju Zgromadzenia. Potem, gdy przyszło mu mówić o Kapitułe Przełożonych, która wydawała się już potrzebować odpowiedniej rezydencji, powiedział wśród powszechnej wesołości: Gdyby to było możliwe, chciałbym zrobić „sopantę” (czytaj: supanta = szálas) na środku dziedzińca, gdzie Kapituła mogłaby być oddzielona od wszystkich innych śmiertelników. Ale ponieważ jej członkowie nadal mają prawo przebywać na tej ziemi, więc mogą przebywać teraz tu, teraz tam, w różnych domach, zgodnie

z tym, co wydaje się najlepsze! (MB X, 1061-1062).

Otis, botis, pija tutis

Pewien młody człowiek zapytał go, skąd zna przyszłość i odgaduje tak wiele tajemnych rzeczy. Odpowiedział mu:

– Posłuchaj mnie. Środek jest taki, a wyjaśnia go: Otis, botis, pija tutis. Czy wiesz, co oznaczają te słowa? Bądź ostrożny. Są to greckie słowa i – przeliterowując je, powtórzył: – O-tis, bo-tis, pi-ja tu-tis. Rozumiesz?

– To poważna sprawa!

– Ja też to wiem. Nigdy nie chciałem nikomu mówić, co oznacza to motto. I nikt nie wie, i nigdy się nie dowie, ponieważ nie jest mi wygodnie o tym mówić. To mój sekret, z którym robię niezwykle rzeczy, czytam sumienia, znam tajemnice. Ale jeśli jesteś mądry, możesz zrozumieć.

I powtórzył te cztery słowa, wskazując palcem wskazującym na czoło, usta, podbródek, klatkę piersiową młodzieńca. Skończyło się na tym, że nagle go spoliczkował. Młody człowiek śmiał się, ale nalegał:

– Przynajmniej przetłumacz mi te cztery słowa!

– Mogę je przetłumaczyć, ale ty nie zrozumiesz tłumaczenia.

I żartobliwie powiedział mu w dialekcie piemonckim:

– Quand ch'at dan ed bòte, pije tute (Kiedy dają ci pięści, weź je wszystkie) (MB VI, 424). I miał na myśli to, że aby zostać świętym, trzeba zaakceptować wszystkie cierpienia, które życie ma dla nas w zanadrzu.

Obrońca majsterkowiczów

Każdego roku młodzież z Oratorium św. Leona w Marsylii wyjeżdżała na wycieczkę do willi pana Olive, hojnego dobroczyńcy salezjanów. Przy tej okazji ojciec i matka usługiwali przełożonym przy stole, a ich dzieci wychowankom.

W 1884 r. wycieczka miała miejsce podczas pobytu księdza Bosko w Marsylii.

Podczas gdy wychowankowie bawili się w ogrodach, kucharka pobiegła do pani Olive, by jej powiedzieć:

– Madame, garnek z zupą dla chłopców przecieka i nie ma

sposobu, by temu zaradzić. Będą musieli obejść się bez zupy! Pani domu, która bardzo wierzyła w księdza Bosko, wpadła na pewien pomysł. Posłała po wszystkich młodych ludzi:

– Słuchajcie – powiedziała im – jeśli chcecie zjeść zupę, uklękniecie tutaj i odmówcie modlitwę do księdza Bosko, aby garnek nie przeciekał.

Byli posłuszni. Garnek natychmiast przestał przeciekać. Ale ksiądz Bosko, słysząc ten fakt, roześmiał się serdecznie, mówiąc:

– Odtąd będą nazywać księdza Bosko patronem stagnin (majsterkowiczów) (MB XVII, 55-56).

Kardynał August Hłond

Drugie z 11 dzieci, jego ojciec był pracownikiem kolei. Otrzymawszy prostą, ale silną wiarę od swoich rodziców, w wieku 12 lat, przyciągnięty sławą Księdza Bosko, podążył za swoim bratem Ignacym do Włoch, aby poświęcić się Panu w Towarzystwie Salezjańskim, a wkrótce przyciągnął tam dwóch innych braci: Antoniego, który został salezjaninem i znanym muzykiem, oraz Klemensa, który został misjonarzem. Kolegium w Valsalice przyjęło go na naukę w gimnazjum. Następnie został przyjęty do nowicjatu i otrzymał sutannę od błogosławionego Michała Rua (1896). Po złożeniu profesji zakonnej w 1897 r. przełożeni wysłali go do Rzymu na Uniwersytet Gregoriański na studia filozoficzne, które uwieńczył uzyskaniem dyplomu. Z Rzymu powrócił do Polski, by odbyć praktykę w szkole w Oświęcimiu. Jego wierność systemowi wychowawczemu Księdza Bosko, jego zaangażowanie w pomoc i szkołę, jego poświęcenie dla młodzieży i przyjazny sposób bycia przyniosły mu wielkie uznanie. Szybko zyskał też sławę dzięki swojemu talentowi muzycznemu.

Po ukończeniu studiów teologicznych przyjął święcenia

kapłańskie 23 września 1905 r. w Krakowie z rąk biskupa Nowaka. W latach 1905-09 studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Krakowskiego i Lwowskiego. W 1907 r. został przełożonym nowego domu w Przemyślu (1907-09), skąd przeszedł do kierowania domem w Wiedniu (1909-19). Tutaj jego męstwo i osobiste zdolności miały jeszcze większy zasięg ze względu na szczególne trudności, z jakimi borykał się instytut w stolicy cesarstwa. Ks. Augustowi Hlondowi, dzięki jego cnocie i taktowi, udało się w krótkim czasie nie tylko uporządkować sytuację ekonomiczną, ale także doprowadzić do rozkwitu pracy z młodzieżą, która przyciągnęła podziw wszystkich ludzi. Troska o ubogich, robotników, dzieci przyciągnęła do niego sympatię najuboższych. Drogi biskupom i nuncjuszom apostolskim, cieszył się szacunkiem władz i samej rodziny cesarskiej. W uznaniu tej pracy społecznej i edukacyjnej trzykrotnie otrzymał niektóre z najbardziej prestiżowych wyróżnień.

W 1919 r. rozwój Inspektorii Austro-Węgierskiej spowodował podział proporcjonalnie do liczby domów, a przełożeni mianowali ks. Hlonda inspektorem Inspektorii Niemiecko-Węgierskiej z siedzibą w Wiedniu (1919-22), powierzając mu opiekę nad współbraćmi austriackimi, niemieckimi i węgierskimi. W ciągu zaledwie trzech lat młody inspektor stworzył kilkanaście nowych placówek salezjańskich i uformował je w najbardziej autentycznym duchu salezjańskim, wzbudzając liczne powołania.

Był w pełnym zapale swojej salezjańskiej działalności, kiedy w 1922 r. Stolica Apostolska musiała zapewnić religijne uporządkowanie dla polskiego Śląska, wciąż krwawiącego z powodu konfliktów politycznych i narodowych, Ojciec Święty Pius XI powierzył mu delikatną misję, mianując go administratorem apostolskim. Jego mediacja między Niemcami i Polakami dała w 1925 r. początek diecezji katowickiej, której został biskupem. W 1926 r. został arcybiskupem gnieźnieńskim i poznańskim oraz prymasem Polski. W następnym roku papież mianował go kardynałem. W 1932 r. założył Towarzystwo Chrystusowe dla Emigrantów Polskich, mające na celu pomoc

wielu rodakom, którzy opuścili kraj.

W marcu 1939 r. wziął udział w konklawe, które wybrało Piusa XII. 1 września tego samego roku naziści zaatakowali Polskę: rozpoczęła się II wojna światowa. Kardynał podniósł głos przeciwko łamaniu przez Hitlera praw człowieka i wolności religijnej. Zmuszony do emigracji, schronił się we Francji, w opactwie Hautecombe, potępiając prześladowania Żydów w Polsce. Gestapo przeniknęło do opactwa i aresztowało go, deportując do Paryża. Kardynał kategorycznie odmawia poparcia dla utworzenia pronazistowskiego rządu polskiego. Został internowany najpierw w Lotaryngii, a następnie w Westfalii. Wyzwolony przez wojska alianckie, powrócił do ojczyzny w 1945 roku.

W nowej, wyzwolonej od nazizmu Polsce odnalazł komunizm. Odważnie bronił Polaków przed ateistycznym marksistowskim uciskiem, uciekając nawet przed kilkoma zamachami. Zmarł 22 października 1948 r. na zapalenie płuc w wieku 67 lat. Na pogrzeb przybyły tysiące ludzi.

Kardynał Hłond był człowiekiem pełnym cnót, wzorem salezjanina i hojnym, wymagającym duszpasterzem, zdolnym do proroczych wizji. Posłuszny Kościołowi i stanowczy w sprawowaniu władzy, wykazał się heroiczną pokorą i jednoznaczną stałością w czasach największej próby. Kultywował ubóstwo i praktykował sprawiedliwość wobec biednych i potrzebujących. Dwa filary jego życia duchowego, w szkole św. Jana Bosko, to Eucharystia i Maryja Wspomożycielka.

W historii Kościoła w Polsce kardynał August Hłond był jedną z najwybitniejszych postaci ze względu na religijne świadectwo swojego życia, wielkość, różnorodność i oryginalność swojej posługi duszpasterskiej, ze względu na cierpienia, którym stawiał czoła z nieustraszoną duchem chrześcijańskim dla Królestwa Bożego. Zapał apostolski wyróżniał pracę duszpasterską i duchową fizjonomię Czcigodnego Augusta Hłonda, który przyjął jako swoje motto biskupie *Da mihi animas coetera tolle*, jako prawdziwy syn św. Jana Bosko potwierdził je swoim życiem jako osoba konsekrowana i biskup, dając świadectwo niestrudzonej miłości duszpasterskiej.

Trzeba pamiętać o jego wielkiej miłości do Matki Bożej,

wyniesionej z domu rodzinnego i o wielkim nabożeństwie Polaków do Matki Bożej, czczonej w sanktuarium w Częstochowie. Co więcej, z Turynu, gdzie rozpoczął swoją drogę jako salezjanin, szerzył kult Maryi Wspomożycielki w Polsce i poświęcił Polskę Niepokalanemu Sercu Maryi. Zawierzenie Maryi zawsze podtrzymywało go w przeciwnościach i w godzinie ostatecznego spotkania z Panem. Zmarł z paciorkami różańca w dłoniach, mówiąc obecnym, że zwycięstwo, gdy nadejdzie, będzie zwycięstwem Maryi Niepokalanej.

Czcigodny kardynał August Hlond jest wyjątkowym świadkiem tego, jak musimy przyjmować drogę Ewangelii każdego dnia, mimo że przynosi nam ona problemy, trudności, a nawet prześladowania: to jest świętość. " Jezus przypomina, jak wielu ludzi było i jest prześladowanych jedynie z tego powodu, że walczyli o sprawiedliwość, że żyli swoim zaangażowaniem wobec Boga i innych. Jeśli nie chcemy zanurzyć się w mrocznej miernocie, nie pragniemy wygodnego życia, bo „kto chce zachować swoje życie, straci je” (Mt 16, 25). Nie możemy czekać, aby zacząć żyć Ewangelią, gdy wszystko wokół nas będzie nam sprzyjało, ponieważ często chęć zdobycia władzy i interesy doczesne grają przeciwko nam... Krzyż, a szczególnie trud i udręki, które znosimy, by żyć według przykazania miłości i drogi sprawiedliwości, są źródłem naszego dojrzewania i uświęcenia” (Franciszek, Gaudete et Exsultate, nn. 90-92).

Wychowanie sumienia według św. Franciszka Salezego

Z całą pewnością nadejście Reformacji protestanckiej postawiło na porządku dziennym problem sumienia, a dokładniej „wolności sumienia”. W liście z 1597 roku do Klemensa VIII, proboszcz

Salezy ubolewał nad „tyranią”, jaką „stan Genewy” wywierał „na sumienia katolików”. Prosił Stolicę Apostolską o interwencję u króla Francji, aby Genewczycy przyznali „to, co nazywają wolnością sumienia”. Przeciwny militarnym rozwiązaniom kryzysu protestanckiego, widział w libertas conscientiae możliwą drogę wyjścia z gwałtownej konfrontacji, pod warunkiem wzajemności. Wolność sumienia, której domagała się Genewa na rzecz Reformacji, a Franciszek Salezy na rzecz katolicyzmu, miała stać się jednym z filarów nowoczesnej mentalności.

Godność osoby ludzkiej

Godność jednostki tkwi w sumieniu, a sumienie jest przede wszystkim synonimem szczerości, uczciwości, otwartości, przekonania. Ksiądz Salezy przyznawał na przykład, „aby oczyścić swoje sumienie”, że projekt Kontrowersji został mu w pewien sposób narzucony przez innych. Kiedy przedstawiał swoje argumenty na rzecz doktryny i praktyki katolickiej, dbał o to, by zaznaczyć, że czynił to „w sumieniu”. „Powiedźcie mi w sumieniu” – pytał swoich przeciwników. „Dobre sumienie” bowiem sprawia, że unika się pewnych czynów, które stawiają w sprzeczności z samym sobą.

Jednak subiektywne sumienie jednostki nie zawsze może być traktowane jako gwarant obiektywnej prawdy. Nie zawsze jest się zobowiązanym wierzyć w to, co ktoś mówi w sumieniu. „Pokażcie mi jasno – mówi do panów z Thonon – że wcale nie kłamiecie, że wcale mnie nie oszukujecie, kiedy mówicie, że w sumieniu mieliście to czy inne natchnienie”. Sumienie może paść ofiarą iluzji, dobrowolnie lub nawet nieświadomie. „Zatwardziali skąpcy nie tylko nie przyznają się do tego, ale w sumieniu nie uważają się za takich”.

Formacja sumienia jest zadaniem zasadniczym, ponieważ wolność sumienia niesie ze sobą ryzyko „czynienia dobra i zła”, ale „wybór zła nie jest używaniem, lecz nadużywaniem naszej wolności”. Jest to zadanie trudne, ponieważ sumienie czasami jawi się nam jako przeciwnik, który „zawsze walczy przeciwko nam i dla nas”: „stawia stały opór naszym złym skłonnościom”, ale czyni to „dla naszego zbawienia”. Kiedy ktoś grzeszy,

„wewnętrzny wyrzut porusza się przeciwko jego sumieniu z mieczem w rękę”, ale czyni to, aby „przebić je świętą bojaźnią”.

Jednym ze sposobów ćwiczenia odpowiedzialnej wolności jest praktyka „rachunku sumienia”. Robienie rachunku sumienia jest jak naśladowanie gołębi, które patrzą na siebie „czystymi i przejrzystymi oczami”, „starannie się czyszczą i ozdabiają najlepiej, jak potrafią”. Filotea jest zaproszona do robienia tego rachunku każdego wieczoru, przed pójściem spać, pytając siebie „jak się zachowywała w różnych godzinach dnia; aby to ułatwić, pomyśli o tym, gdzie, z kim i czym się zajmowała”.

Raz w roku powinniśmy przeprowadzić dogłębny rachunek „stanu naszej duszy” przed Bogiem, bliźnim i nami samymi, nie zapominając o „rachunku uczuć naszej duszy”. Rachunek sumienia – mówi Franciszek Salezy do wizytek – doprowadzi was do zgłębienia „waszego sumienia”.

Jak ulżyć sumieniu, gdy czuje się obciążone błędem lub przewinieniem? Niektórzy czynią to w zły sposób, osądzając i oskarżając innych „o wady, którym sami ulegają”, myśląc w ten sposób o „złagodzeniu wyrzutów sumienia”. W ten sposób mnoży się ryzyko wydawania pochopnych sądów. Wręcz przeciwnie, „ci, którzy prawidłowo dbają o swoje sumienie, wcale nie podlegają pochopnym sądom”. Należy osobno rozważyć przypadek rodziców, wychowawców i osób odpowiedzialnych za dobro publiczne, ponieważ „duża część ich sumienia polega na uważnym czuwaniu nad sumieniem innych”.

Szacunek dla samego siebie

Z afirmacji godności i odpowiedzialności każdego człowieka musi narodzić się szacunek dla samego siebie. Już Sokrates i cała starożytność pogańska i chrześcijańska wskazały drogę:

Jest to powiedzenie filozofów, które jednak zostało uznane za ważne przez doktorów chrześcijańskich: „Poznaj samego siebie”, czyli poznaj doskonałość swojej duszy, aby jej nie poniżać i nie gardzić nią.

Niektóre z naszych czynów stanowią nie tylko obrazę Boga, ale

także obrażę godności osoby ludzkiej i rozumu. Ich konsekwencje są godne ubolewania:

Podobieństwo i obraz Boga, które nosimy w sobie, zostaje splamione i zniekształcone, godność naszego ducha zhańbiona, a my stajemy się podobni do zwierząt bezrozumnych [...], stając się niewolnikami naszych namiętności i obalając porządek rozumu.

Istnieją ekstazy i uniesienia, które wnoszą nas ponad nasz naturalny stan, i inne, które nas poniżają: „O ludzie, jak długo będziecie tak bezmyślni – pisze autor Teotyima – że będziecie deptać swoją naturalną godność, dobrowolnie schodząc i rzucając się w stan zwierząt?”.

Szacunek dla samego siebie pozwoli uniknąć dwóch przeciwnych niebezpieczeństw: pychy i pogardy dla posiadanych darów. W wieku, w którym poczucie honoru było wywyższone do maksimum, Franciszek Salezy musiał interweniować, aby potępić występki, zwłaszcza w kwestii pojedynków, które „jeżyły mu włosy na głowie”, a jeszcze bardziej bezsensowną pychę, która była ich przyczyną. „Jestem zgorszony” – pisał do żony pojedynkującego się męża – „naprawdę, nie mogę pojąć, jak można mieć tak nieokiełznaną odwagę nawet dla drobiazgów i niczego”. Walcząc w pojedynku, jest tak, jakby „stali się nawzajem swoimi katami”.

Inni natomiast nie ośmielają się uznać otrzymanych darów i w ten sposób grzeszą przeciwko obowiązkowi wdzięczności. Franciszek Salezy potępia „pewną fałszywą i głupią pokorę, która uniemożliwia odkrycie dobra, które w nich jest”. Mylą się, ponieważ „dobra, które Bóg w nas umieścił, należy szczerze uznawać, szanować i czcić”.

Pierwszym bliźnim, którego muszę szanować i kochać, zdaje się mówić biskup Genewy, jestem ja sam. Prawdziwa miłość do samego siebie i należny mu szacunek wymagają, abym dążył do doskonałości i poprawiał się, jeśli to konieczne, ale łagodnie, rozsądnie i „idąc drogą współczucia”, a nie gniewu i furii.

Istnieje bowiem miłość własna nie tylko uzasadniona, ale także dobroczynna i nakazana: „Dobrze uporządkowana miłość zaczyna się od siebie” – mówi przysłowie – i dobrze odzwierciedla myśl Franciszka Salezego, ale pod warunkiem, że nie myli się miłości własnej z egoizmem. Miłość własna jest dobra, a Filotea jest zaproszona do zastanowienia się nad tym, jak kocha samą siebie:

Czy masz dobry porządek w miłości do siebie? Bo tylko nieuporządkowana miłość do nas samych może nas zrujnować. Otóż uporządkowana miłość chce, abyśmy kochali duszę bardziej niż ciało, abyśmy starali się zdobywać cnoty bardziej niż cokolwiek innego.

Wręcz przeciwnie, egoizm jest miłością egoistyczną, „narcystyczną”, nadętą sobą, zazdrosną o własne piękno i wyłącznie zatroskaną o własny interes: „Narcyz – mówią profani – był młodzieńcem tak pogardliwym, że nie chciał ofiarować swojej miłości nikomu innemu; i w końcu, kontemplując się w czystej fontannie, został całkowicie porwany przez swoje piękno”.

„Należyty szacunek dla osób”

Jeśli szanuje się siebie, będzie się lepiej przygotowanym i skłonny do szanowania innych. Fakt bycia „obrazem i podobieństwem Boga” ma jako konsekwencję twierdzenie, że „wszystkie istoty ludzkie cieszą się tą samą godnością”. Franciszek Salezy, choć żył w społeczeństwie naznaczonym starym reżimem, silnie nierównym, promował myśl i praktykę charakteryzującą się „należytym szacunkiem dla osób”.

Trzeba zacząć od dzieci. Matka św. Bernarda – mówi autor Filotei – kochała swoje nowo narodzone dzieci „z szacunkiem jako rzecz świętą, którą Bóg jej powierzył”. Bardzo poważny zarzut skierowany przez biskupa Genewy do pogan dotyczył ich pogardy dla życia bezbronnych istot. Szacunek dla dziecka, które ma się narodzić, wyłania się z tego fragmentu listu, napisanego zgodnie z barokową retoryką epoki, skierowanego przez Franciszka Salezego do kobiety w ciąży. Zachęca ją,

wyjaśniając, że dziecko, które formuje się w jej łonie, jest nie tylko „żywym obrazem Boskiego Majestatu”, ale także obrazem jej matki. Poleca innej kobiecie:

Często ofiarujcie na wieczną chwałę waszego Stwórcy maleńką istotę, do której formowania zechciał was przyjąć jako swoją współpracownicę.

Innym aspektem należnego szacunku dla innych jest kwestia wolności. Odkrycie nowych ziem miało, jako zgubną konsekwencję, ponowne pojawienie się niewolnictwa, które przypominało praktyki starożytnych Rzymian w czasach pogaństwa. Sprzedaż istot ludzkich degradowała je do rangi zwierząt:

Pewnego dnia Marcjusz Antoniusz kupił od kupca dwóch młodzieńców; wtedy, jak to się dzieje jeszcze dziś w niektórych krajach, sprzedawano dzieci; byli ludzie, którzy je zdobywali, a potem handlowali nimi, jak to się robi z końmi w naszych krajach.

Szacunek dla innych jest nieustannie zagrożony w bardziej subtelny sposób przez obmowę i oszczerstwo. Franciszek Salezy bardzo nalega na „grzechy języka”. Rozdział Filotei, który wyraźnie traktuje o tym temacie, nosi tytuł Uczciwość w słowach i szacunek należny osobom. Zrujnowanie czyjejś reputacji to popełnienie „duchowego morderstwa”; to odebranie „życia cywilnego” temu, o kim źle się mówi. Podobnie, „ganiąc wadę”, należy starać się oszczędzać w jak największym stopniu „osobę w nią uwikłaną”.

Niektóre kategorie osób są z łatwością pogardzane. Franciszek Salezy broni godności ludzi prostych, opierając się na Ewangelii: „Święty Piotr – komentuje – był człowiekiem szorstkim, prostym, starym rybakiem, rzemieślnikiem niskiego stanu; święty Jan natomiast był dżentelmenem, łagodnym, miłym, mądrym; święty Piotr natomiast, nieukiem”. Otóż to święty Piotr został wybrany, aby prowadzić innych i być „uniwersalnym przełożonym”.

Głosi godność chorych, mówiąc, że „dusze, które są na krzyżu, są ogłoszone królowymi”. Potępiając „okrucieństwo wobec ubogich” i wywyższając „godność ubogich”, uzasadnia i precyzuje postawę, jaką należy wobec nich przyjąć, wyjaśniając „jak powinniśmy ich czcić, a zatem odwiedzać jako przedstawicieli Naszego Pana”. Nikt nie jest bezużyteczny, nikt nie jest bez znaczenia: „Nie ma na świecie przedmiotu, który nie mógłby być do czegoś użyteczny; ale trzeba umieć znaleźć jego zastosowanie i miejsce”.

Salezjańskie „jedno-różne”

Problem, który od zawsze dręczył społeczeństwa ludzkie, to pogodzenie godności i wolności każdej jednostki z godnością i wolnością innych. Franciszek Salezy wyjaśnił go w oryginalny sposób, wprowadzając nowe słowo. Otóż, zakładając, że wszechświat składa się ze „wszystkich rzeczy stworzonych, widzialnych i niewidzialnych” i że „ich różnorodność sprowadza się do jedności”, biskup Genewy zaproponował nazwanie go „jedno-różnym”, czyli „jedynym i różnym, jedynym z różnorodnością i różnym z jednością”.

Dla niego każda istota jest wyjątkowa. Ludzie są jak perły, o których mówi Pliniusz: „są tak wyjątkowe, każda w swojej jakości, że nigdy nie znajdzie się dwóch doskonale równych”. Znamienne jest, że jego dwa główne dzieła, Wprowadzenie do życia pobożnego i Traktat o miłości Bożej, są skierowane do jednej osoby, Filotei i Teotyma. Jakaż różnorodność i odmienność między istotami! „Bez wątpienia, jak widzimy, że nigdy nie znajdzie się dwóch ludzi doskonale równych pod względem darów natury, tak nigdy nie znajdzie się doskonale równych pod względem darów nadprzyrodzonych”. Różnorodność zachwycała go również z czysto estetycznego punktu widzenia, ale obawiał się niedyskretnej ciekawości co do jej przyczyn:

Gdyby ktoś zadał pytanie, dlaczego Bóg uczynił ogórki większe od truskawek, albo lilie większe od fiołków; dlaczego rozmaryn nie jest różą, albo dlaczego goździk nie jest nagietkiem; dlaczego paw jest piękniejszy od nietoperza, albo dlaczego

figa jest słodka, a cytryna kwaśna, śmiano by się z jego pytań i powiedziano by mu: biedny człowieku, ponieważ piękno świata wymaga różnorodności, konieczne jest, aby w rzeczach były różne i zróżnicowane doskonałości i aby jedna nie była drugą; dlatego jedne są małe, inne duże, jedne kwaśne, inne słodkie, jedne piękniejsze, inne mniej. [...] Wszystkie mają swoją wartość, swoją wdzięk, swój blask, i wszystkie, widziane w całości swojej różnorodności, stanowią wspaniały spektakl piękna.

Różnorodność nie przeszkadza jedności, wręcz przeciwnie, czyni ją jeszcze bogatszą i piękniejszą. Każdy kwiat ma swoje cechy, które odróżniają go od wszystkich innych: „Nie jest właściwe różom być białymi, wydaje mi się, bo te czerwone są piękniejsze i mają lepszy zapach, który jednak jest właściwy lilii”. Oczywiście, Franciszek Salezy nie znosi zamieszania i nieporządku, ale jest równie wrogi jednolitości. Różnorodność istot może prowadzić do rozproszenia i zerwania komunii, ale jeśli jest miłość, „więź doskonałości”, nic nie jest stracone, wręcz przeciwnie, różnorodność jest wywyższona przez jedność. U Franciszka Salezego z pewnością istnieje prawdziwa kultura jednostki, ale nigdy nie jest to zamknięcie na grupę, wspólnotę czy społeczeństwo. Spontanicznie widzi on jednostkę osadzoną w kontekście lub „stanie” życia, który wyraźnie zaznacza tożsamość i przynależność każdego. Nie będzie możliwe ustalenie jednego programu lub projektu dla wszystkich, z tego prostego powodu, że będzie on stosowany i realizowany w różny sposób „dla dżentelmena, dla rzemieślnika, dla służącego, dla księcia, dla wdowy, dla młodej kobiety, dla zamężnej”; należy go również dostosować „do sił i obowiązków każdego w szczególności. Biskup Genewy widzi społeczeństwo podzielone na przestrzenie życiowe charakteryzujące się przynależnością społeczną i solidarnością grupową, jak wtedy, gdy traktuje „o kompanii żołnierzy, o warsztacie rzemieślników, o dworze książąt, o rodzinie ludzi zamężnych”. Miłość personalizuje, a zatem indywidualizuje. Uczucie, które łączy jedną osobę z drugą, jest wyjątkowe, jak pokazuje

Franciszek Salezy w swojej relacji z panią de Chantal: „Każde uczucie ma swoją specyfikę, która odróżnia je od innych; to, co czuję do was, ma pewną szczególną cechę, która mnie nieskończenie pociesza, i, mówiąc wszystko, jest dla mnie niezwykle owocne”. Słońce oświeśla wszystkich i każdego: „oświetlając jeden zakątek ziemi, nie oświeśla go mniej, niż gdyby nie świeciło nigdzie indziej, ale tylko w tym zakątku”.

Istota ludzka jest w procesie stawania się
Chrześcijański humanista, Franciszek Salezy, wierzy w końcu w możliwość doskonalenia się osoby ludzkiej. Erazm ukuł formułę: *Homines non nascuntur sed finguntur*. Podczas gdy zwierzę jest istotą zdeterminowaną, kierowaną instynktem, człowiek, przeciwnie, jest w ciągłej ewolucji. Nie tylko się zmienia, ale może zmieniać samego siebie, zarówno na lepsze, jak i na gorsze.

To, co całkowicie zajmowało autora Teotyma, to doskonalenie siebie i pomaganie innym w doskonaleniu się, i to nie tylko w dziedzinie religijnej, ale we wszystkim. Od urodzenia do grobu człowiek jest w sytuacji ucznia. Naśladujmy krokodyla, który „nie przestaje rosnać, dopóki żyje”. Bowiem „pozostawanie w tym samym stanie przez długi czas nie jest możliwe: kto nie idzie naprzód, cofa się w tym ruchu; kto nie wchodzi, schodzi po tej drabinie; kto nie zwycięża, jest zwyciężony w tej walce”. Cytuje św. Bernarda, który mówił: „Jest napisane w sposób szczególny dla człowieka, że nigdy nie znajdzie się w tym samym stanie: musi iść naprzód lub cofać się”. Idźmy naprzód:

Nie wiesz, że jesteś w drodze i że droga nie jest stworzona do siedzenia, ale do pójścia naprzód? I jest tak stworzona do pójścia naprzód, że poruszanie się naprzód nazywa się chodzeniem.

Oznacza to również, że osoba ludzka jest wychowywalna, zdolna do uczenia się, poprawiania się i doskonalenia. I to jest prawdą na wszystkich poziomach. Wiek czasami nie ma nic do rzeczy. Spójrzcie na tych śpiewających chłopców z katedry,

którzy znacznie przewyższają zdolności swojego biskupa w tej dziedzinie: „Podziwiam te dzieci – mówił – które ledwo potrafią mówić, a już śpiewają swoją partię; rozumieją wszystkie znaki i zasady muzyczne, podczas gdy ja nie wiedziałbym, jak sobie poradzić, ja, który jestem dorosłym mężczyzną i którego chciano by uważać za wielką osobistość”. Nikt na tym świecie nie jest doskonały:

Są ludzie z natury lekkomyślni, inni niegrzeczni, inni jeszcze bardzo niechętni słuchaniu opinii innych, a inni w końcu skłonni do oburzenia, inni do gniewu, a inni do miłości; krótko mówiąc, znajdujemy bardzo mało osób, u których nie można by odkryć jednej lub drugiej z podobnych niedoskonałości.

Czy należy zatem rozpaczać nad możliwością poprawy swojego temperamentu, korygując niektóre z naszych naturalnych skłonności? Wcale nie.

Bo choć są w każdym z nas jakby własne i naturalne, jeśli przez zastosowanie do przeciwnego przywiązania można je skorygować i uregulować, a nawet można się ich pozbyć i oczyścić, to, mówię ci, Filoteo, trzeba to zrobić. Znalezione przecież sposób, aby gorzkie migdałowce stały się słodkie: wystarczy je przewiercić u podstawy i wypuścić sok; dla czego więc nie moglibyśmy wypuścić naszych przewrotnych skłonności, aby stać się lepszymi?

Stąd optymistyczny, ale wymagający wniosek: „Nie ma natury dobrej, której nie można by uczynić złą przez nałogowe nawyki; nie ma natury tak przewrotnej, której nie można by, przede wszystkim z łaski Bożej, a potem z pracowitym wysiłkiem i pilnością, ujarzmić i zwyciężyć”. Jeśli człowiek jest wychowywalny, nie należy rozpaczać nad nikim i wystrzegać się uprzedzeń wobec ludzi:

Nie mów: ten to pijak, nawet jeśli widziałeś go pijanego; to cudzołożnik, bo widziałeś go grzeszącego; to kazirodca, bo

złapałeś go na tym nieszczęściu; bo jeden czyn nie wystarczy, aby nadać nazwę rzeczy. [...] I nawet gdyby człowiek był długo występny, nadal ryzykowałoby się kłamstwo, nazywając go występnym.

Osoba ludzka nigdy nie kończy uprawiać swojego ogrodu. Jest to lekcja, którą założyciel wizytek wpajał im, gdy wzywał je „do uprawy ziemi i ogrodu” ich serc i umysłów, ponieważ nie ma „człowieka tak doskonałego, który nie potrzebowałby wysiłku, aby wzrastać w doskonałości i ją zachować”.

Don Jose-Luis Carreno, misjonarz salezjański

Ksiądz José Luis Carreño (1905-1986) został opisany przez historyka Josepha Thekkedatha jako „najbardziej kochany salezjanin południowych Indii” w pierwszej części XX wieku. Wszędzie tam, gdzie mieszkał – czy to w Indiach Brytyjskich, w portugalskiej kolonii Goa, na Filipinach czy w Hiszpanii – znajdujemy salezjanów, którzy z miłością pielęgnują jego pamięć. Dziwnie jednak, nie posiadamy jeszcze odpowiedniej biografii tego wielkiego salezjanina, z wyjątkiem obszernego listu pośmiertnego sporządzonego przez ks. José Antonio Rico: „José Luis Carreño Etxeandía, robotnik Boży”. Mamy nadzieję, że wkrótce uda się wypełnić tę lukę. Ksiądz Carreño był jednym z twórców regionu Azji Południowej i nie możemy pozwolić sobie na zapomnienie o nim.

José-Luis Carreño Etxeandía urodził się w Bilbao w Hiszpanii 23 października 1905 roku. Osierocony przez matkę w wieku ośmiu lat, został przyjęty do domu salezjańskiego w Santander. W 1917 roku, w wieku dwunastu lat, wstąpił do aspirantatu w

Campello. Wspomina, że w tamtych czasach „nie mówiło się wiele o Księdzu Bosko... Ale dla nas ksiądz Binelli był Księdzem Bosko, nie wspominając o księdzu Rinaldim, ówczesnym Prefekcie Generalnym, którego wizyty pozostawiały w nas nadprzyrodzone wrażenie, jak wtedy, gdy posłańcy Jahwe odwiedzili namiot Abrahama”.

Po nowicjacie i postnowicjacie odbył praktykę jako asystent nowicjuszy. Musiał być błyskotliwym klerykiem, ponieważ ks. Pedro Escursell pisał o nim do Przełożonego Generalnego: „Rozmawiam właśnie z jednym z wzorowych kleryków tego domu. Jest asystentem w formacji w tej Inspektorii; mówi mi, że od dawna prosi o wysłanie na misje i mówi, że zrezygnował z prośby, ponieważ nie otrzymuje odpowiedzi. Jest młodym człowiekiem o wielkiej wartości intelektualnej i moralnej”.

W przededniu święceń kapłańskich w 1932 roku młody José-Luis napisał bezpośrednio do Przełożonego Generalnego, oddając się do wyjazdu na misje. Oferta została przyjęta i został wysłany do Indii, gdzie wylądował w Bombaju w 1933 roku. Zaledwie rok później, gdy utworzono Inspektorię Indii Południowych, został mianowany mistrzem nowicjuszy w Tirupattur: miał zaledwie 28 lat. Dzięki swoim niezwykłym cechom umysłu i serca szybko stał się duszą domu i wywarł głębokie wrażenie na swoich nowicjuszach. „Zdobył nas swoim ojcowskim sercem” – pisze jeden z nich, arcybiskup Hubert D’Rosario z Shillong.

Ks. Joseph Vaz, inny nowicjusz, często opowiadał, jak Carreño zauważył, że drży z zimna podczas konferencji. „Poczekaj chwilę, hombre” – powiedział mistrz nowicjuszy i wyszedł. Niedługo potem wrócił z niebieskim swetrem, który wręczył Joe. Joe zauważył, że sweter był dziwnie ciepły. Potem przypomniał sobie, że pod sutanną jego mistrz nosił coś niebieskiego... czego teraz już nie było. Carreño oddał mu swój własny sweter. W 1942 roku, kiedy rząd brytyjski w Indiach internował wszystkich cudzoziemców z krajów będących w stanie wojny z Wielką Brytanią, Carreño, będąc obywatelem kraju neutralnego, pozostał nietknięty. W 1943 roku otrzymał wiadomość przez Radio Watykańskie: miał zająć miejsce księdza Eligio Cinato, inspektora Inspektorii Indii Południowych, także

internowanego. W tym samym czasie salezjański arcybiskup Louis Mathias z Madras-Mylapore zaprosił go na swojego wikariusza generalnego.

W 1945 roku został oficjalnie mianowany inspektorem, stanowisko to piastował od 1945 do 1951 roku. Jednym z jego pierwszych aktów było poświęcenie Inspektorii Najświętszemu Sercu Jezusa. Wielu salezjanów było przekonanych, że niezwykle wzrost Inspektorii Południowej był spowodowany właśnie tym gestem. Pod kierownictwem księdza Carreño, dzieła salezjańskie podwoiły się. Jednym z jego najbardziej dalekowzrocznych działań było uruchomienie kolegium uniwersyteckiego w odległej i biednej wiosce Tirupattur. Sacred Heart College ostatecznie przekształcił całą miejscowość.

Carreño był również głównym twórcą „indianizacji” salezjańskiego oblicza w Indiach, od samego początku poszukując lokalnych powołań, zamiast polegać wyłącznie na zagranicznych misjonarzach. Wybór ten okazał się opatrnościowy: po pierwsze, ponieważ przepływ zagranicznych misjonarzy ustał, został przerwany podczas wojny; po drugie, ponieważ niepodległe Indie zdecydowały się nie udzielać już wiz nowym zagranicznym misjonarzom. „Jeśli dziś salezjanów w Indiach jest ponad dwa tysiące, zasługa tego wzrostu należy przypisać polityce zapoczątkowanej przez księdza Carreño” – pisze ks. Thekkedath w swojej historii salezjanów w Indiach.

Ks. Carreño, jak już wspomnieliśmy, był nie tylko inspektorem, ale także wikariuszem bp. Mathiasa. Ci dwaj wielcy ludzie, którzy głęboko się szanowali, byli jednak bardzo różni pod względem temperamentu. Arcybiskup był zwolennikiem surowych środków dyscyplinarnych wobec współbraci w trudnościach, podczas gdy ks. Carreño preferował łagodniejsze procedury. Wizytator nadzwyczajny, ks. Albino Fedrigotti, wydaje się, że przyznał rację arcybiskupowi, nazywając ks. Carreño „doskonałym zakonnikiem, człowiekiem o wielkim sercu”, ale także „trochę zbyt nim poetą”.

Nie brakowało również oskarżeń o złe zarządzanie, ale znaczące jest, że postać taka jak ks. Aurelio Maschio, wielki

prokurator i architekt dzieł salezjańskich w Bombaju, zdecydowanie odrzucił takie oskarżenie. Tak naprawdę ks. Carreño był innowatorem i wizjonerem. Niektóre z jego pomysłów – takie jak zaangażowanie niesalezjańskich wolontariuszy do kilkuletniej służby – były wówczas traktowane z podejrzliwością, ale dziś są powszechnie akceptowane i aktywnie promowane.

W 1951 roku, po zakończeniu oficjalnej kadencji jako inspektor, Carreño został poproszony o powrót do Hiszpanii, aby zająć się Salezjanami Współpracownikami. Nie był to prawdziwy powód jego wyjazdu po osiemnastu latach w Indiach, ale Carreño przyjął to ze spokojem, choć nie bez bólu.

W 1952 roku został poproszony o wyjazd do Goa, gdzie pozostał do 1960 roku. „Goa była miłością od pierwszego wejrzenia” – napisał w *Urdimbre en el telar*. Goa z kolei przyjęła go do serca. Kontynuował tradycję salezjanów, którzy służyli jako kierownicy duchowi i spowiednicy duchowieństwa diecezjalnego, a nawet był patronem stowarzyszenia pisarzy w języku konkani. Przede wszystkim z miłością zarządzał wspólnotą Don Bosco Panjim, z niezwykłą ojcowską troską opiekował się wieloma biednymi chłopcami i, ponownie, aktywnie poświęcił się poszukiwaniu powołań do życia salezjańskiego. Pierwsi salezjanie z Goa – tacy jak Thomas Fernandes, Elias Diaz i Romulo Noronha – ze łzami w oczach opowiadali, jak Carreño i inni przechodzili obok Goa Medical College, tuż obok domu salezjańskiego, aby oddać krew i w ten sposób zdobyć kilka rupii, za które kupowali żywność i inne dobra dla chłopców.

W 1961 roku miała miejsce indyjska interwencja wojskowa i aneksja Goa. W tym czasie ks. Carreño przebywał w Hiszpanii i nie mógł już wrócić do ukochanej ziemi. W 1962 roku został wysłany na Filipiny jako mistrz nowicjuszy. Towarzyszył tylko trzem grupom nowicjuszy, ponieważ w 1965 roku poprosił o powrót do Hiszpanii. Przyczyną jego decyzji była poważna rozbieżność poglądów między nim a salezjańskimi misjonarzami z Chin, a zwłaszcza z księdzem Carlo Bragą, przełożonym wizytatorii. Carreño stanowczo sprzeciwiał się polityce

wysyłania młodych filipińskich salezjanów, świeżo po profesji, do Hongkongu na studia filozoficzne. Jak się okazało, ostatecznie przełożeni przyjęli propozycję zatrzymania młodych salezjanów na Filipinach, ale w tym momencie prośba Carreño o powrót do ojczyzny została już przyjęta.

Don Carreño spędził tylko cztery lata na Filipinach, ale także tutaj, podobnie jak w Indiach, pozostawił niezatarty ślad, „niezmierzony i kluczowy wkład w obecność salezjańską na Filipinach”, według słów salezjańskiego historyka Nestora Impelido.

Po powrocie do Hiszpanii współpracował z Prokurami Misyjnymi w Madrycie i New Rochelle oraz w animacji inspektorii iberyjskich. Wielu w Hiszpanii wciąż pamięta starego misjonarza, który odwiedzał domy salezjańskie, zarażając młodych swoim misyjnym entuzjazmem, swoimi pieśniami i muzyką. Ale w jego twórczej wyobraźni kształtował się nowy projekt. Carreño z całego serca poświęcił się marzeniu o założeniu Pueblo Misionero z dwoma celami: przygotowanie młodych misjonarzy – głównie z Europy Wschodniej – dla Ameryki Łacińskiej; oraz oferowanie schronienia dla „emerytowanych” misjonarzy, takich jak on, którzy mogliby również służyć jako formatorzy. Po długiej i bolesnej korespondencji z przełożonymi, projekt w końcu nabrał kształtu w Hogar del Misionero w Alzuza, kilka kilometrów od Pampeluny. Projekt powołaniowo-misyjny nigdy nie wystartował, a bardzo niewielu starszych misjonarzy faktycznie dołączyło do Carreño. Jego głównym apostolstwem w tych ostatnich latach pozostało pisanie. Pozostawił ponad trzydzieści książek, w tym pięć poświęconych Całunowi Turyńskiemu, któremu był szczególnie oddany.

Ks. José-Luis Carreño zmarł w 1986 roku w Pampelunie, w wieku 81 lat. Pomimo wzlotów i upadków swojego życia, ten wielki miłośnik Najświętszego Serca Jezusa mógł stwierdzić w złotym jubileuszu swoich święceń kapłańskich: „Jeśli pięćdziesiąt lat temu moim mottem jako młodego księdza było ‘Chrystus jest wszystkim’, dziś, stary i przytłoczony Jego miłością,

napisałbym to złotymi literami, ponieważ w rzeczywistości CHRYSTUS JEST WSZYSTKIM”.

ks. Ivo Coelho SDB

Siedem radości Matki Bożej

W sercu dzieła wychowawczego i duchowego św. Jana Bosko, postać Matki Bożej zajmuje uprzywilejowane i świetliste miejsce. Ksiądz Bosko był nie tylko wielkim wychowawcą i założycielem, ale także żarliwym czcicielem Dziewicy Maryi, którą czcił z głębokim uczuciem i której powierzał każdy swój projekt duszpasterski. Jednym z najbardziej charakterystycznych wyrazów tej pobożności jest praktyka „Siedmiu radości Matki Bożej”, przedstawiona w prosty i przystępny sposób w jego publikacji „Młodzieniec zaopatrzony”, jednym z najbardziej rozpowszechnionych tekstów w jego pedagogice duchowej.

Dzieło dla duszy młodych

W 1875 roku Ksiądz Bosko opublikował nowe wydanie „Młodzieńca zaopatrzonego w praktykę jego obowiązków w ćwiczeniach pobożności chrześcijańskiej”, podręcznika modlitw, ćwiczeń duchowych i norm chrześcijańskiego postępowania, przeznaczonego dla chłopców. Ta książka, napisana w stylu prostym i ojcowskim, miała towarzyszyć młodym ludziom w ich formacji moralnej i religijnej, wprowadzając ich w integralne życie chrześcijańskie. Znalazło się w niej również miejsce na nabożeństwo do „Siedmiu radości Najświętszej Maryi Panny”, prostej, ale intensywnej modlitwy, ustrukturyzowanej w siedmiu punktach. W przeciwieństwie do „Siedmiu boleści Matki Bożej”, znacznie bardziej znanych i rozpowszechnionych w pobożności ludowej, w „Siedmiu radościach” Ksiądz Bosko kładzie nacisk na

radości Najświętszej Dziewicy w niebie, będące konsekwencją życia ziemskiego przeżytego w pełni łaski Bożej.

Ta pobożność ma dawne korzenie i była szczególnie droga franciszkanom, którzy rozpowszechnili ją od XIII wieku jako Różaniec Siedmiu Radości Błogosławionej Dziewicy Maryi (lub Koronka Seraficka). W tradycyjnej formie franciszkańskiej jest to modlitwa składająca się z siedmiu dziesiątek Zdrowaś Maryjo, z których każda poprzedzona jest radosną tajemnicą (radością) i wprowadzona przez Ojcie Nasz. Na końcu każdej dziesiątki odmawia się Chwała Ojcu. Radości to: 1. Zwiastowanie Anielskie; 2. Nawiedzenie św. Elżbiety; 3. Narodzenie Zbawiciela; 4. Pokłon Trzech Króli; 5. Znalezienie Jezusa w świątyni; 6. Zmartwychwstanie Syna; 7. Wniebowzięcie i koronacja Maryi w niebie.

Ksiądz Bosko, czerpiąc z tej tradycji, oferuje jej uproszczoną wersję, dostosowaną do wrażliwości młodych ludzi.

Każda z tych radości jest medytowana poprzez odmówienie Zdrowaś Maryjo i Chwała Ojcu.

Pedagogika radości

Wybór zaproponowania młodym tej pobożności nie wynika tylko z osobistego upodobania Księdza Bosko, ale w pełni wpisuje się w jego wizję wychowawczą. Był przekonany, że wiara powinna być przekazywana poprzez radość, a nie strach; poprzez piękno dobra, a nie lęk przed złem. „Siedem radości” staje się w ten sposób szkołą chrześcijańskiej radości, zaproszeniem do uznania, że w życiu Dziewicy łaska Boża objawia się jako światło, nadzieja i spełnienie.

Ksiądz Bosko dobrze znał trudności i cierpienia, z którymi wielu jego chłopców borykało się na co dzień: ubóstwo, porzucenie rodzinne, niepewność pracy. Dlatego oferował im nabożeństwo maryjne, które nie ograniczało się do płaczu i bólu, ale było także źródłem pocieszenia i radości. Medytowanie radości Maryi oznaczało otwarcie się na pozytywną wizję życia, nauczenie się rozpoznawania obecności Boga nawet w trudnych chwilach i ufne powierzenie się czułości Niebieskiej Matki.

W publikacji „Młodzieniec zaopatrzony” Ksiądz Bosco pisze wzruszające słowa o roli Maryi: przedstawia ją jako kochającą matkę, pewną przewodniczkę i wzór życia chrześcijańskiego. Nabożeństwo do jej radości nie jest prostą praktyką pobożnościową, ale środkiem do nawiązania osobistej relacji z Matką Bożą, naśladowania jej cnót i otrzymywania jej matczynej pomocy w próbach życia.

Dla turyńskiego świętego Maryja nie jest odległa czy niedostępna, ale bliska, obecna, aktywna w życiu swoich dzieci. Ta silnie relacyjna wizja maryjna przenika całą duchowość salezjańską i znajduje odzwierciedlenie także w codziennym życiu oratoriów: środowiskach, gdzie radość, modlitwa i zażyłość z Maryją idą w parze.

Żywe dziedzictwo

Również dziś nabożeństwo do „Siedmiu radości Matki Bożej” zachowuje swoją duchową i wychowawczą wartość. W świecie naznaczonym niepewnością, lękami i kruchością, oferuje prostą, ale głęboką drogę do odkrycia, że wiara chrześcijańska jest przede wszystkim doświadczeniem radości i światła. Ksiądz Bosko, prorok radości i nadziei, uczy nas, że autentyczne wychowanie chrześcijańskie przechodzi przez docenienie uczuć, emocji i piękna Ewangelii.

Ponowne odkrycie dziś „Siedmiu radości” oznacza także odzyskanie pozytywnego spojrzenia na życie, historię i obecność Boga. Matka Boża, ze swoją pokorą i ufnością, uczy nas strzec i medytować w sercu znaki prawdziwej radości, tej, która nie przemija, ponieważ opiera się na miłości Boga.

W czasach, gdy również młodzi ludzie szukają światła i sensu, słowa Księdza Bosko pozostają aktualne: „Jeśli chcecie być szczęśliwi, praktykujcie nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny”. „Siedem radości” jest więc małą drabiną do nieba, różańcem światła, który łączy ziemię z sercem Niebieskiej Matki.

Oto również oryginalny tekst z „Młodzieńca zaopatrzonego w praktykę jego obowiązków w ćwiczeniach pobożności

chrześcijańskiej", 1875 (wydanie polskie w Źródłach Salezjańskich, str. 798-799), z naszymi tytułami.

Siedem radości Najświętszej Panny Maryi w niebie

1. Wesel się, o Oblubienico niepokalana Ducha Świętego w niebie, z tego powodu, iż przez czystość i dziewictwo swoje wywyższona jesteś ponad wszystkich aniołów i wyniesiona ponad wszystkich świętych.

Ave Maria itd. Gloria itd.

2. Wesel się, o Matko Boga, z powodu tej radości, jaką przeżywasz w niebie, albowiem jak słońce tu na ziemi oświeca cały świat, tak Ty Swoim blaskiem upiększasz i rozjaśniasz całe niebo.

Ave Maria itd. Gloria itd.

3. Wesel się, o Córko Boga Ojca, z powodu tej wysokiej godności, do jakiej zostałaś wyniesiona w niebie, albowiem wszystkie chóry aniołów, archaniołów, tronów, panowań i błogosławionych duchów czczą Ciebie, oddają Ci pokłon i uznają Cię za Matkę ich Stworzyciela [Chrystusa] i na najmniejsze Twoje skinienie są Ci posłuszni.

Ave Maria itd. Gloria itd.

4. Wesel się, o Służebnico Trójcy Przenajświętszej, tą wielką potęgą, którą posiadasz w niebie, bo wszystkie łaski, o które Syna Swego Jezusa prosisz, bywają Ci zaraz udzielane; nawet, jak mówi św. Bernard, żadna łaska nie zostaje udzielona nam na ziemi, która by nie przeszła przez Twoje najświętsze ręce.

Ave Maria itd. Gloria itd.

5. Wesel się, o Najdostojniejsza Królowo, albowiem tylko Ty sama jesteś godna zasiąść u boku Twojego najświętszego Syna, który siedzi po prawicy Ojca Przedwiecznego.

Ave Maria itd. Gloria itd.

6. Wesel się, o Nadziejo grzeszników, Ucieczko strapionych ze względu na Twoje dostojne wyniesienie w niebie, ponieważ ci

wszyscy, którzy Cię czczą i chwalą na tym świecie, otrzymują z rąk Ojca Przedwiecznego obfitość łaski na ziemi i chwałę wieczną w niebie.

Ave Maria itd. Gloria itd.

7. Wesel się, o Matko, Córkó i Oblubienico Boga, ponieważ wszystkie łaski, wszystkie powody do radości i chwały, wszystkie przywileje, którymi cieszysz się obecnie w niebie, już nigdy się nie zmniejszą, owszem do dnia sądnego będą się zwiększać i trwać przez całą wieczność.

Ave Maria itd. Gloria itd.

Modlitwa do Najświętszej Maryi Panny:

O chwalebna Dziewico Maryjo, Matko mojego Pana, źródło wszelkiej naszej pociechy, przez te Twoje radości, które na możliwy mi sposób najpobożniej rozpamiętywałem, błagam Cię, o wieczysta Królowo nieba, wyjednaj mi u Boga odpuszczenie moich grzechów i nieustanną pomoc Jego świętej łaski, ponadto uproś mi, abym się nigdy nie stał niegodnym Twej opieki, ale mógł raczej otrzymać wszystkie te dary niebios, które zwyczajnie wypraszasz i rozdajesz swoim sługom, którzy z pobożnością rozważają wskazane radości obfitujące w Twoim sercu. Amen.

Zdjęcie: shutterstock.com

Dialog rodzinny

Syn: „Słyszeliście, co się stało w Ukraina?”.

Ojciec: „Nie!”

Matka: „Czy zupa jest wystarczająco słona?”.

Syn: „To jest problem, prawda?”.

Ojciec: „Tak.”

Syn: „Więc jak myślisz?”.

Ojciec: „Masz rację, brakuje trochę soli”.

Matka: „To weź ją”.

Syn: „To dziwne, jak mogło do tego dojść”.

Matka: „Ile dostałeś z matematyki?”.

Ojciec: „Nigdy nic nie rozumiałem z matematyki”.

Matka: „Dziś jest zimno...”.

Mąż słucha swojej żony najwyżej przez 17 sekund, a następnie zaczyna mówić.

Żona słucha męża przez maksymalnie 17 sekund, a następnie zaczyna mówić.

Mąż i żona słuchają swoich dzieci przez...

Oratorium świąteczne na Valdocco

W 1935 r., rok po kanonizacji księdza Bosko w 1934 r., salezjanie затroszczyli się o zebranie świadectw o nim. Niejaki Pietro Pons, który jako chłopiec uczęszczał do świątecznego oratorium na Valdocco przez około dziesięć lat (od 1871 do 1882 r.), a także uczęszczał do dwóch klas szkoły podstawowej (z salami szkolnymi pod Bazyliką Maryi Wspomożycielki) 8 listopada tegoż roku dał piękne świadectwo z tamtych lat. Przytaczamy niektóre fragmenty, prawie wszystkie dotąd niepublikowane.

Postać księdza Bosko

Był centrum przyciągania dla całego Oratorium. Tak wspomina go nasz były oratorianin Pietro Pons koniec lat siedemdziesiątych XIX w.: Nie miał już wigoru, ale zawsze był spokojny i uśmiechnięty. Miał dwoje oczu, które przeszywały i przenikały umysł. Pojawiał się wśród nas: był radością dla wszystkich. ks. Rua, ks. Lazzero byli u jego boku, jakby mieli Boga pośród

siebie. Ks. Barberis i wszyscy chłopcy biegli w jego kierunku, otaczając go, niektórzy szli do jego boku, inni za nim, aby tylko być blisko niego. To było szczęście, upragniony przywilej móc być blisko niego, rozmawiać z nim. Przechadzał się, rozmawiając i patrząc na wszystkich tymi dwoma oczami, które obracały się w każdą stronę, elektryzując serca radością.

Wśród epizodów, które utkwiły mu w pamięci 60 lat później, wspomina szczególnie dwa: Pewnego dnia... pojawił się on sam przy drzwiach wejściowych do sanktuarium. Wtedy stado chłopców rzuciło się na niego jak podmuch wiatru. Ale on trzymał w ręku parasol, który miał rączkę i trzonek tak gruby jak u chłopów. Podnosi go i, używając go jak miecza, żongluje, aby odeprzeć ten czuły atak, teraz w prawo, teraz w lewo, aby otworzyć sobie przejście. Dotyka jednego czubkiem, innego w bok, ale w międzyczasie inni zbliżają się z drugiej strony. W ten sposób gry i żarty trwały jeszcze, przynosząc radość sercom, pragnącym zobaczyć dobrego Ojca powracającego z podróży. Wyglądał jak wiejski proboszcz, ale z dobrego gatunku.

Gry i teatrzyk

Salezjańskie oratorium bez zabaw jest nie do pomyślenia. Tak to wspomina starszy były wychowanek: Dziedziniec był wypełniony od kościoła Maryi Wspomożycielki aż do końca niskiego muru ... w lewym rogu był rodzaj namiotu, w której zawsze był ktoś, kto pilnował tych, którzy wchodzili ... Jak tylko się weszło, po prawej stronie była huśtawka z tylko jednym siedzeniem, potem równoległe drążki i stały drążek dla starszych dzieci, które lubiły robić obroty i salta, a także trapez i pojedynczy latający stopień, które znajdowały się w pobliżu zakrystii za kaplicą św. Józefa. I dodaje: Dziedziniec ten był bardzo długi i bardzo dobrze nadawał się do wyścigów sportowych rozpoczynających się od strony kościoła i wracających tam z powrotem. Grano w różne zabawy, ścigano się w workach i grano w losy. Te ostatnie gry zostały ogłoszone niedzielę wcześniej. Podobnie było ze wspinaniem się na pał; ale pień został postawiony cienkim końcem na dole, aby

trudniej było się na niego wspiąć. Były też loterie, a za los płacono grosz lub dwa. Wewnątrz małego domku znajdowała się mała biblioteka zamknięta w szafce.

Z grami wiązał się słynny „teatrzyk”, w którym wystawiano autentyczne dramaty, takie jak „Syn krzyżowca”, śpiewano ballady księdza Cagliero i prezentowano „musicale”, takie jak Szewc uosabiany przez legendarnego Carlo Gastiniego [genialnego animatora byłych wychowanków]. Spektakl, w którym bezpłatnie uczestniczyli rodzice, odbywał się w sali pod nawą kościoła Maryi Wspomożycielki, ale dawny wychowanek wspomina również, że kiedyś wystawiano go w domu Moretta [dzisiejszy kościół parafialny w pobliżu placu]. Biedni ludzie żyli tam w najbardziej obskurnej nędzy. W piwnicach, które można zobaczyć pod balkonem, mieszkała biedna matka, która w południe niosła na ramionach swojego Karola, którego ciało było sztywne z powodu choroby, aby zażyć trochę słońca.

Nabożeństwa i spotkania formacyjne

W świątecznym oratorium nie brakowało nabożeństw w niedzielne poranki: Msza święta z Komunią świętą, modlitwy dobrego chrześcijanina; po południu rekreacja, katechizm i kazanie księdza Giulio Barberisa. Ks. Bosko, już stary, nigdy nie przychodził odprawiać Mszy św. ani głosić kazań, a jedynie odwiedzać i przebywać z chłopcami podczas rekreacji... Katecheci i asystenci mieli swoich wychowanków w kościele podczas nabożeństw i uczyli ich katechizmu. Mała doktryna była przekazywana wszystkim. Lekcja była wymagana do zapamiętania w każde święto, a następnie także jej wyjaśnienie. Uroczyste święta kończyły się procesją i poczęstunkiem dla wszystkich: Po wyjściu z kościoła po Mszy było śniadanie. Młody człowiek po prawej stronie za drzwiami podawał bochenek chleba, inny po lewej kładł na nim widelcem dwa plasterki salami. Zadowalano tych chłopców czymś niewielkim, ale oni byli zachwyceni. Kiedy chłopcy, mieszkający w internacie, dołączali do oratorianów śpiewających nieszpory, ich głosy można było usłyszeć aż na Via Milano i Via Corte d'appello!

Spotkania grup formacyjnych odbywały się także w świątecznym oratorium. W domku przy kościółku św. Franciszka znajdował się mały, niski pokój, który mógł pomieścić około dwudziestu osób... W pokoju znajdował się mały stół dla wykładowcy, były ławki na spotkania i konferencje dla starszej młodzieży w ogóle, ale również Towarzystwa św. Alojzego w prawie każdą niedzielę.

Kim byli oratorianie?

Spośród około 200 swoich towarzyszy – ale ich liczba zmniejszała się zimą z powodu powrotu pracowników sezonowych do swoich rodzin – nasz energiczny staruszek wspominał, że wielu z nich pochodziło z Bielli: prawie wszyscy nosili drewniane wiadro pełne wapna i wiklinowy kosz pełen cegieł murarzem budynków. Inni byli czeladnikami murarskimi, mechanikami, blacharzami. Biedni czeladnicy: pracowali od rana do nocy każdego dnia i tylko w niedziele mogli sobie pozwolić na odrobinę rekreacji „u księdza Bosko” (jak nazywano jego oratorium): Graliśmy w ośle muchy, pod kierunkiem ówczesnego pana Milanese [przyszłego księdza, który był wielkim misjonarzem w Patagonii]. Pan Ponzano, późniejszy ksiądz, był nauczycielem gimnastyki. Kazał nam wykonywać ćwiczenia na wolnym ciele, z kijami, na przyrządach.

Wspomnienia Pietro Ponsa są znacznie szersze, tak bogate w odległe sugestie, jak i przeniknięte cieniem nostalgii; czekają na pełne poznanie. Mamy nadzieję, że wkrótce to zrobimy.

Dwa sny: szemranie – trzech umarłych (1876)

Utwór, którego akcja rozgrywa się w styczniu 1876 roku, przedstawia jeden z najbardziej sugestywnych „snów” Don Bosco,

ulubione narzędzie, którym turyński święty wstrząsał i prowadził młodzież Oratorium. Wizja otwiera się na bezkresną równinę, na której wre praca siewców: ziarno, symbol Słowa Bożego, wykiełkuje tylko wtedy, gdy będzie chronione. Ale żarłoczne kury rzucają się na ziarno, a podczas gdy chłopci śpiewają wersety ewangeliczne, klerycy odpowiedzialni za ochronę milczą lub są rozproszeni, pozwalając, aby wszystko przepadło. Scena, ożywiona dowcipnymi dialogami i cytatami biblijnymi, staje się przypowieścią o szemraniu, które gasi owoc głoszenia, i przestrogą przed aktywną czujnością. W tonach jednocześnie ojcowskich i surowych, Don Bosco przekształca element fantastyczny w przejmującą lekcję moralną.

W drugiej połowie stycznia Ksiądz Bosko miał sen, z którego zwierzył się niektórym ze swoich. Wówczas ks. Barberis poprosił, ażeby go opowiedział publicznie, gdyż sny podobne bardzo interesowały młodzież przynosiły jej wielką korzyść duchowną i przywiązywały do Oratorium. To prawda – odrzekł na to Ksiądz Bosko; sny te robią dużo dobrego i są chciwie słuchane. Jeśli szkodzą komuś, to tylko moim płucom, które potrzebowałbym mieć żelazne. Rzec można, iż w Oratorium nie ma ani jednego, który przy tych opowiadaniach nie czułby się wstrząśnięty do głębi. Wszak dotyczą one wszystkich i każdy pragnie wiedzieć, w jakim go stanie widziałem, co ma robić, co oznacza to i owo: i tak nie dają mi spokoju za dnia i w nocy. Jeżeli zaś chcę zachęcić do spowiedzi generalnej, to wystarczy, abym opowiedział jakiś sen... słuchaj... – zrobmy tak: w niedzielę ja przyjdę powiedzieć słówko do chłopców, a ty publicznie zapytasz mnie o sen, a wtedy ja go opowiem. I rzeczywiście dnia 25 stycznia, wieczorem, zjawił się Ksiądz Bosko wśród swych ukochanych chłopców z właściwym mu uśmiechem, wyrażającym całą Jego radość, jakiej doznawał, znajdując się pomiędzy nimi. Gdy się uspokoiło ks. Barberis odezwał się: Przepraszam Księdza Bosko, ale chciałem spytać o jedną rzecz.

– No powiedz bez obawy.

– Słyszałem, że Ksiądz Bosko miał sen o kurach, ziarnie i rolnikach, który opowiedział klerykowi Calvi. Czyżby nie był łaskawy opowiedzieć go i nam wszystkim? Bardzo byśmy się cieszyli.

– O, jaki ciekawski... – odezwał się Ksiądz Bosko.

– Niech ja już będę ciekawski, byle nam Ksiądz sen opowiedział. Jestem pewien, że moja prośba jest wyrazem życzenia wszystkich i wszyscy bardzo chętnie posłuchają.

– Jak tak, no to opowiem. Miałem zamiar nic nie mówić o tym, gdyż są w nim rzeczy, które odnoszą się w szczególniejszy sposób do niektórych, no i do ciebie, że będziesz musiał zarumienić się po uszy, lecz skoro już tak chcecie, to opowiem.

– No tak, Księżę Bosko, ale jeżeli miałbym za dużo oberwać, to proszę mi tego zaoszczędzić publicznie.

– Opowiem rzecz tak, jak ją śniłem: każdy niech weźmie, co dla niego. Ale przede wszystkim trzeba pamiętać, że człowiek śni śpiąc i wtedy nie rozumuje: jeśli więc w tym będzie co odpowiedniego dla kogoś, względnie jakie upomnienie, to niech każdy skorzysta, ale bez zbytniego przejmowania się. Powiedziałem, iż mi się śniło, gdy spałem w nocy, bo są i tacy, co śpią za dnia i to z otwartymi oczyma, ku utrapieniu nauczycieli, dla których stają się nieznośni... I tak ciągnął dalej:

Zdawało mi się, że jestem stąd daleko, w Castelnuovo d'Asti, wśród obszernej, pięknej równiny, na uprawnym polu. Do kogo należało, nie wiem. W każdym razie nie było ono nasze. Pracowało tam mnóstwo ludzi. Jedni równali ziemię, inni orali, jeszcze inni siali... Motyki, łopaty, grabie były w ruchu. Pracami kierowali wyznaczeni ku temu przodownicy i zdawało mi się, jakbym i ja również należał do tej grupy. Z przeciwka stały rozśpiewane tłumy wieśniacze. Słuchałem ich, a nie mogąc nic z tego zrozumieć, pytałem sam siebie: Po co tyle tej pracy? I myślałem, że to chyba wszystko potrzebne, by moi chłopcy mieli chleba pod dostatkiem.

Podziwiać trzeba było owych poczziwych wieśniaków, gdyż ani na chwilę w pracy nie ustawali. Zaledwie paru stało tylko śmiejąc

się i żartując. Rozglądając się wokoło, ujrzałem przy sobie kilku księży i swoich kleryków. Chyba śnię... – pomyślałem. Wszak moi klerycy są w Turynie, tymczasem to jest Castelnuovo. Zresztą jak to możliwe? Cały jestem okutany ciepło, wczoraj dopiero była zima, a tu zboże sieją? Chwytam się więc za rękę, chodzę tam i z powrotem, zaiste nie śnię... toż to prawdziwe pole. Kleryk, który tu stoi to kleryk A; tamten kleryk B. Zresztą niepodobieństwem jest widzieć naraz tyle rzeczy...

Gdy tak się głowiłem, zauważyłem w pobliżu starca, o miłej powierzchowności, który obserwował mnie i innych. Przystąpiłem wtedy do niego i spytałem:

– Powiedz mi, zacny staruszk, co to wszystko znaczy? Nic z tego nie pojmuję... gdzie jesteśmy? co to za pracownicy? co to za pole?...

– Och, ładne pytanie ... Ksiądz, jako kapłan tego nie wie..?

– Ależ proszę mi powiedzieć: sen to, czy jawa? Wszystko, co widzę wydaje mi się niemożliwe.

– Właśnie, że to najmożliwsze w świecie... owszem, to rzeczywistość. Czy sam się o tym nie spostrzegasz? Przecież doprawdy rozmawiasz, przysłuchujesz się, uśmiechasz, żartujesz ...

– No, a jednak – zauważyłem – trafiają się tacy, którym we śnie się zdaje, że rozmawiają, pracują...

– Tym się nie ma co przejmować... ty rzeczywiście jesteś tutaj ciałem i duszą obecny.

– Niechże już i tak będzie. Proszę mi zatem powiedzieć, do kogo to pole należy?

– Wszak uczyłeś się łaciny. Przypomnij sobie wtedy pierwszy rzeczownik drugiej deklinacji według w gramatyki Donata. Musisz ją chyba znać?...

– Oczywiście.. lecz cóż to ma wspólnego z moim pytaniem?

– Owszem, wiele. Bo niech no sobie Ksiądz przypomni, jaki jest pierwszy wzór na drugą deklinację.

– Dominus..

– A w drugim przypadku?

– Domini.

– Bardzo dobrze: Domini. Pole to jest Domini – Pana.

– Aha, zaczynam pojmować...

Zastanowił mnie trochę sposób rozumowania zacnego staruszka. Tymczasem przede mną przesuwali się ludzie, dźwigający wory z ziarnem do siewu, a grupa śpiewacza śpiewała: Exiit, qui seminat, seminam semen suum... Ziarno, które nieśli było tak śliczne, że mi się grzechem wydawało, iż zostanie rzucone w ziemię i zbutwieje...

Nie byłoby lepiej – myślałem sobie – zemleć je i upiec chleba czy ciastek? Lecz wnet przypomniałem sobie, że jeżeli kto nie zasieje ten nie będzie zbierał. Jeśli ziarno nie zostanie wrzucone w ziemię, to nie zakiełkuje, to nie będzie żniwa... Wtem z różnych stron nadleciała cała chmara kur, które zaczęły wydziobywać ziarno zasiane... Chór za śpiewał dalej: Venerunt aves coeli, sustulerunt frumentum et reliquerunt zizanium.

Rzuciłem okiem wkoło: uderzało mnie zachowanie się kleryków. Ten z rękoma założonymi patrzył obojętnie przed siebie, tamten gawędził z kolegami, inni baraszkowali między sobą lub załatwiali jakieś osobiste interesy, ale żaden z nich nie ruszył się nawet, żeby odpędzać ptactwo. Oburzony zwracam się do nich i wołam:

– Od czego tu jesteście? Czy nie widzicie, jak kury wyłuskują ziarno?

– Nie rozumiecie, że zniszczą cały zasiew, jedyną nadzieję pocziwych tych wieśniaków? Cóż potem będzie się zbierać? No, no, cóż tak stoicie milcząc? Czemu nie płoszycie szkodników?

Klerycy wzruszali tylko ramionami i spoglądali na mnie tępymi oczami. Niektórzy nawet nie raczyli obrócić się ku mnie i zgoła nie interesowali się polem, ani moim upomnieniem.

Doprawdy jesteście bezmyślni – karciłem dalej. Kury już wole mają pełne, a wy nie możecie ich spłoszyć, choćby samym klaśnięciem w dłonie, ot tak... To mówiąc, zacząłem sam klaskać w ręce... Nareszcie kilku ruszyło się i odpędzili ptactwo. A wtedy pomyślałem: No tak, ale teraz, to już za późno, skoro ziarno zostało wydziobane...

A do moich uszu doleciał śpiew wieśniaków: Canes muti nescentes latrare – psy nieme, co nie umieją szczekać... Zwróciłem się do starca trochę zdumiony i równocześnie

oburzony:

– Dalejże, staruszkule, wyjaśnij mi, to, co tu widzę, gdyż nic z tego nie pojmuję. Co oznacza ziarno?

– Bardzo to proste: Semen est verbum Dei.

– No, ale co to miało znaczyć, że je kury wydziobały?

Starzec, zmieniając ton głosu ciągnął dalej:

– Och, jeżeli koniecznie chcesz dokładniejszego wytłumaczenia, to zaraz wyjaśnię wszystko.

Pole – to Winnica Pańska, o której wspomina Ewangelia, może również oznaczać serce ludzkie. Robotnikami są pracownicy ewangeliczni siejący słowo Boże, które przyniosłoby obfity owoc w duszach, gdyż gleba ta jest podatna. Lecz cóż się dzieje? Przylatują ptaki niebieskie i wydziobują je.

– Co oznaczają ptaki?

– Chcesz wiedzieć, co oznaczają ptaki? Zaraz ci powiem. Ptaki, to symbole szemrania i wygadywania. Po wysłuchaniu kazania, które wielki mogłoby przynieść owoc w duszy, idzie się z kolegami; z tych jeden krytykuje gesty, czy głos kaznodziei, inny jakąś jego ułomność fizyczną, czy cechy charakteru; jeszcze inny drwi sobie ze stylu... i tak cały owoc kazania przepada. To samo należy powiedzieć o czytaniu dobrych książek. Wszelki skutek dobrej lektury zostaje zniweczony przez jakieś ujemne uwagi na jej temat. Takie wygadywanie tym jest niebezpieczniejsze, że przeważnie odbywa się w skrytości i szerzy się tam, gdzie się najmniej go spodziewamy. Ziarno, chociażby padło na glebę mniej urodzajną, zakiełkuje i zawsze coś przyniesie owocu. Gdy burza przejdzie nad łąkami, choć je poniszczy i powichrzy, zawsze coś pozostanie: nawet gołe ziarno zasiane jest kiepskie, może mało, ale przecież zawsze z niego coś wyrośnie. Lecz, gdy je kury wydziobią, sytuacja jest beznadziejna. Podobnie dzieje się z kazaniami, naukami, upomnieniami. Jeżeli natrafi na przeszkody, jak roztrzepanie lub pokusy, może mniej, ale zawsze coś dobrego w duszy z nich pozostanie, ale jeśli spotkają się ze złośliwym szemraniem, krytyką lub czymś podobnym, to wszystko przepadnie, cały plon zostaje zniszczony. Kto zaś ma klaskać w dłonie, płoszyć i czuć, by takie rozmowy nie miały miejsca, to dobrze wiesz.

– Cóż się jednak stało owym klerykom, że nie przeszkadzali złu? – zapytałem.

– Niestety, nic nie przeszkodzili – potwierdził i ciągnął dalej.

– Stali, gapili się, jak nieme posągi, bezmyślni, obojętni, z założonymi rękoma, a inni nie mieli odwagi przeciwstawić się złu. Niektórzy nawet, ale na szczęście tych było niewiele, przyłączyli się do szemrzących i brali udział w złych rozmowach, niszcząc tak do krzty działanie Słowa Bożego. Ty, co jesteś kapłanem, nie zapominaj nalegać, upominać, pouczać, nakłaniać bezustannie, nie obawiaj się, że tego może być kiedykolwiek za wiele. Niech wszyscy głęboko przekonają się, jak wielkim złem jest krytykowanie kazań, nauk, pożytecznych rad i wskazówek. Kto jest bierny na widok szerzącego się zła i nie przeciwstawia się mu, zwłaszcza jeśli może, a tym bardziej, jeśli powinien, ten staje się uczestnikiem grzechów cudzych.

Przejęty tymi słowami, chciałem jeszcze zobaczyć, co się dalej dzieje na polu, chciałem upomnieć kleryków i zachęcić ich do pełnienia swego obowiązku. Rzeczywiście niektórzy ruszyli się i przepędzali kury. Ja zaś zrobiwszy kilka kroków naprzód, zawadziłem o porzucone grabie i... przebudziłem się.

A teraz pomijając wszystko, przejdźmy do nauki moralnej.

– Księżę Barberis, co ksiądz ma do powiedzenia na temat tego snu?

– Mam do powiedzenia – odpowiedział ks. Barberis, iż w nim, kto zasłużył otrzymał porządną burę /bastonata/.

– Całkiem słusznie – ciągnął dalej Ksiądz Bosko. Ów sen jest lekcją, która powinna wszystkim posłużyć. Zapamiętajcie sobie, moi drodzy chłopcy, byście trzymali z dala od siebie wszelkie szemranie i unikali go, jako wielkiego zła, jak prawdziwej zarazy. Unikajcie go nie tylko sami, ale pomagajcie w tym drugim. Dobre rady, usługi, nie sprawiają tyle dobrego, ile uczyni ten, kto przeszkodzi szemraniu, czy złym rozmowom. Zdobądźmy się na odwagę i zwalczajmy je śmiało. Nie masz większego nieszczęścia, jak marnowanie słowa Bożego, a wystarczy nieraz półsłówko, nieroztropny żart ...

Opowiedziałem wam sen, jaki miałem przed paru nocami, ale miałem jeszcze inny ubiegłej nocy, który również chcę wam opowiedzieć, tym bardziej, że jeszcze nie jest tak późno, bo dopiero dziewiąta. Postaram się jednak być krótkim.

Wydawało mi się, że znajduję się w jakiejś miejscowości, już nie przypominam sobie, w jakiej. Ale nie było to ani Castelnuovo, ani Oratorium. Wtem nadbiegł ktoś i woła do mnie:

– Księżę Bosko, niech Ksiądz idzie... Księżę Bosko, Księżę Bosko, prędzej, prędzej...

– A cóż tak pilnego – zapytałem.

– Ksiądz nie wie, co się dzieje?

– Nie wiem, wytłumacz się jaśniej – odparłem niespokojny.

– Proszę Księdza, ów chłopak tak dobry i pełny życia, leży ciężko chory i już jest prawie konający.

– Eh, żartujesz chyba... Przecież dzisiaj rano z nim rozmawiałem.

– Nie żartuję bynajmniej, ale mówię szczerą prawdę. Chłopak ten wzywa gorąco Księdza Bosko. Pragnie się z Księdzem widzieć i porozmawiać...

– Pędzej, bo może być za późno...

Pospieszyłem więc za wołającym, choć nie wiedziałem dokąd. Gdy zaś doszliśmy na miejsce, ujrzałem ludzi smutnych i płaczących, którzy mówili:

– Proszę się spieszyć, już kona...

– Ale cóż się stało? – pytam.

Wprowadzono mnie do jakiegoś pokoju, gdzie ujrzałem chłopca śmiertelnie bladego, podobnego raczej do trupa. Silny kaszel dręczył go nieustannie, a z piersi wydobywało się stłumione rżenie tak, iż chory nie mógł nawet słowa wykrztusić.

– Czy to ty jesteś ten a ten? – zapytałem.

– Tak, to ja. Jak się czujesz?

– Ach, bardzo źle... Co ci się stało? Przecież wczoraj, owszem dziś rano, przechadzałem się z tobą pod portykami?

– Tak, odrzekł chłopczyk. Wczoraj i dziś rano przechadzałem się pod portykami, lecz proszę nie zwlekać. Pragnę się wypowiadać. Pozostaje mi już bardzo mało czasu.

– Bądź spokojny, nie obawiaj się. Spowiadałeś się przecież

przed paru dniami.

– To prawda i zdaje mi się, że nie mam nic ciężkiego na sumieniu. Jednakże pragnę otrzymać rozgrzeszenie, nim stanę przed Boskim Sędzią.

Wysłuchałem jego spowiedzi. Równocześnie zauważyłem, że stan jego pogarsza się z każdą chwilą, bo dech mu zapierało. Trzeba się spieszyć – pomyślałem sobie, jeżeli chory ma przyjąć Wiatyk i otrzymać Ostatnie namaszczenie. A kto wie, czy będzie mógł przyjąć Wiatyk święty z powodu kaszlu... A więc trzeba wziąć przynajmniej oleje święte. Wyszedłem, więc z pokoju i posłałem natychmiast po oleje święte. Chłopcy obecni w pokoju pytali niespokojni:

– Czy doprawdy grozi mu niebezpieczeństwo? Czy już jest konający?

– Niestety – odparłem. Nie widzicie, że oddech staje się coraz cięższy i kaszel dech mu zapiera?

– Może by było jeszcze możliwe przynieść mu Wiatyk i tak posilonego na duszy oddać w ręce Maryi Najświętszej?

Gdy byłem zajęty przygotowaniem potrzebnych rzeczy, słyszę głos: skonał.

Wróciłem do pokoju i zastałem chłopca z oczyma postawionymi w słup, już martwego.

– Umarł? ... – odezwałem się do dwóch, co przy nim czuwali.

– Umarł, umarł – odpowiedzieli.

– Ale jakżeż tak prędko, tak nagle, czyż to doprawdy on?

– Tak, to on – odrzekli mi.

Wierzyć nie mogę własnym oczom: wczoraj jeszcze przechadzał się ze mną pod portykami...

– Tak, tak, wczoraj chodził, a dziś leży martwy, przytaknęli smutno.

– Całe szczęście, że był to chłopak wzorowy – powiedziałem do otaczających mnie chłopców. A pomyślcie, że nie miał nawet możliwości przyjęcia Wiatyku i Ostatniego Namaszczenia. Podziękujmy Bogu, że zdołał się wyświadczyć. Dobry był i przystępował dość często do sakramentów świętych. Możemy mieć nadzieję, że już jest w niebie lub przynajmniej w czyśćcu. A gdyby jego los spotkał któregoś z was, co się działoby z

niektórymi?... Ukłękliśmy wszyscy i odmówiliśmy psalm: „Z głębokości” – za duszę zmarłego.

Kiedy, wracałem do pokoju, natknąłem się na biegnącego mi naprzeciw z księgarni Ferrarisa, który zatrwożony pyta:

– Czy Ksiądz Bosko wie, co się przed chwilą stało?

– Niestety, wiem. Umarł chłopak N – odparłem.

– Nie o niego chodzi, ale umarli dwaj inni.

– Cóż znowu, którzy?

– Ten i ten...

– A kiedy? Nic nie rozumiem.

– Tak, dwaj inni zmarli, wcześniej, zanim Ksiądz przybył.

– A dlaczego nie wezwaliście mnie ?

– Nie było czasu... Ale niech Ksiądz powie, kiedy ten pierwszy umarł?

– W tej chwili, co dopiero – odpowiedziałem.

– A czy Ksiądz wie, którego dzisiaj mamy – pytał dalej Ferraris.

– Pewno, że wiem. Dzisiaj mamy 22 stycznia, trzeci dzień nowenny do św. Franciszka Salezego.

– Nie – odrzekł Ferraris. Ksiądz Bosko się myli. Niech Ksiądz lepiej zobaczy...

Spojrzałem na kalendarz: był 26 maja.

– To niemożliwe – wykrzyknąłem. Przecież teraz jest styczeń dopiero. Poznaję to choćby z tego, jak jestem ubrany: w maju nikt by się tak grubo nie ubierał. W maju nie ogrzewa się kaloryferów. Nie wiem, co na to powiedzieć, ale dzisiaj rzeczywiście jest 26 maja. Przecież wczoraj dopiero umarł nasz towarzysz, a to był styczeń.

– Myli się Ksiądz, wyjaśniał Ferraris. To było w czasie Wielkanocnym.

– Tego już za wiele: co jedno zdanie, to większa niedorzeczność.

– A jednak było to w czasie wielkanocnym. Miał wielkie szczęście, że umarł na Wielkanoc, większe niż ci dwaj, co zmarli w miesiącu maryjnym.

– Chyba drwisz sobie ze mnie. Mów jaśniej, gdyż nic z tego nie rozumiem.

– Bynajmniej nie żartuję. Rzecz ma się tak, jak mówię. Jeżeli zaś Ksiądz chce się przekonać, to proszę uważać...

Tu rozłożył ramiona i mocno zaklaskał w dłonie, a ja się przebudziłem.

– Co za szczęście – zawołałem – że to był sen, a nie rzeczywistość.

– A ja się tak przeraziłem...

Taki sen miałem ubiegłej nocy. Nie chcę przypisywać mu szczególniejszej wagi... Wystarczy mi, że ci, których widziałem martwych we śnie, są żywi i zdrowi. Oczywiście nie wypada podawać teraz nazwisk. Będę ich jednak miał na oku, służąc im radą i zachętą według potrzeby, by mogli być na śmierć przygotowani. Niechże jednak nikt nie mówi sobie: to ten lub tamten, ale niech każdy myśli o swej duszy. A nie potrzebujecie z tego powodu pośepnieć. Jedyne wnioski, jakie obecnie powinien wam się nasunąć, to ten podany przez samego Boskiego Zbawiciela w Ewangelii: „Estote parati, quia qua hora non putatis, Filius hominis veniet – bądźcie gotowi...”. Ten, co jest nieprzygotowany, by umrzeć dobrze, stale narażony jest na śmierć nieszczęśliwą. Ja przygotowuję się na tę chwilę jak najstaranniej; i wy czyńcie to samo, abyśmy w każdej chwili gotowi byli na wezwanie Boże przejść do wiecznej szczęśliwości. Dobranoc.

Słów Księdza Bosko słuchano zawsze w religijnym skupieniu. Ale kiedy opowiadał te nadzwyczajne rzeczy, wśród setek chłopców zgromadzonych koło Niego, nikt nie kaszlnął, ani szurgnął nogą. Wrażenie, jakie one wywierały, trwało całe tygodnie i miesiące, a wraz z tymi przeżyciami następowały poważne zmiany w zachowaniu się nawet wielkich łobuzów. Całe gromady chłopców oblegały wtedy jego konfesjonał... Jakieś przypuszczenie, że zmyśla te opowiadania, by nastraszyć i pobudzić młodzież do poprawy życia, nikomu nawet nie przyszło do głowy, gdyż przepowiednie śmierci sprawdzały się zawsze, a sny odpowiadały rzeczywistości.

Ale czyż niepokój wywołany podobnymi ponurymi przepowiedniami, nie był dla owej młodzieży gniotącą wszystkich zmorą?... Nie wyglądało. Najpierw, na tak wielką ilość ośmiuset chłopców,

jacy wtedy byli w Oratorium, za dużo nasuwało się kombinacji i możliwości, by poszczególne jednostki miały się tym zbytnio niepokoić. Poza tym panowało wśród nich ogólne przekonanie, że kto umiera w Oratorium, idzie na pewno do raju i że Ksiądz Bosko przygotowuje ich do śmierci tak, iż się nawet o tym nie spostrzegą.

Takie są zgodne wszystkie świadectwa z owych czasów Oratorium.

Kiedy chłopcy poszli spać, niektórzy współbracia otoczyli Księdza Bosko, wypytując natarczywie, czy to nie, który z nich ma wkrótce umrzeć. Ale Święty uśmiechając się swym zwyczajem i potrząsając głową żartował:

– No, no, niechbym powiedział kto jest, a jeszcze umarłby przed czasem...

Ci widząc, że na ten temat nic nie wskórają, zaczęli z innej beczki pytając, czy są wśród nich tacy, którzy należeli do kur w pierwszym śnie, czyli do szemrających. Ksiądz Bosko spojrzawszy po wszystkich z uśmiechem, rzekł : Może się tam jakiś znalazłby... i zamilkł. Wówczas pytali, czy są między nimi psy nieme. Odpowiedział ogólnikowo i zalecił unikać szemrania i złych rozmów oraz przeszkadzać im.

– Biada takiemu księdzu czy klerykowi – mówił Ksiądz Bosko – który przeznaczony do czuwania nad innymi, choć widzi nieporządki, a nie przeszkadza im. Trzeba wam wiedzieć, że przez szemranie nie rozumiem tylko właściwego szemrania, czy obmawiania /Włosi mówią obcinania sukni na plecach / ale wszelkie rozmowy, słowa. dowcipy, które ubliżają w jaki bądź sposób Słowu Bożemu. W ogóle pragnę zaznaczyć, że wielkie jest to zło stać obojętnie wobec nieporządków a nie przeszkadzać im według możliwości. Ktoś odważniejszy zapytał jeszcze, co odnosi się we śnie do ks. Barberisa, bo było w nim ponoć coś i dla niego. A ponieważ widać było, że ksiądz Barberis nie miał nic przeciw, by mu to powiedzieć publicznie, a obecni byli tylko sami księża, Ksiądz Bosko tak odrzekł:

– Eh, ks. Barberis nie kładzie na ten punkt dostatecznego nacisku w swoich kazaniach. Ten rzeczywiście potwierdził, że przez cały rok na temat szemrania nie miał ani raz konferencji

do nowicjuszków. Oczywiście z uwagi bardzo skrzętnie skorzystał. Tak rozmawiając weszli po schodach pod pokój Księdza Bosko i ucałowawszy go w rękę udali się na spoczynek. Pozostał tylko ksiądz Barberis, który jeszcze towarzyszył Księdzu Bosko do jego sypialni, gdzie niespodziewanie nawiązała się dalsza rozmowa przez jakieś pół godziny. Nie było to w zwyczaju Księdza Bosko, ale w tym wypadku był widocznie mocno przejęty tym, co widział i rozmową z księdzem Barberisem chciał się jakoś uspokoić. Między innymi tak mu się zwierzał:

– We śnie widziałem wszystkich i widziałem stan duszy każdego. Poznałem, kto kura, kto pies niemy, czy upomniany zabrał się do roboty czy nie. Tym posługuję się przy spowiedziach, przy napominaniu czy publicznym, czy prywatnym, dopóki to nie odniesie skutku. Z początku nie przypisywałem większej wagi podobnym snom, ale z biegiem czasu przekonałem się, że są one skuteczniejsze od niejednego kazania, a nawet od kolekcji i dlatego z nich korzystam. A czemuż nie miałbym korzystać? Czytamy w Piśmie świętym: Probate spiritus; quod bonum est tenete. Widzę, że chłopcy z nich korzystają, że słuchają ich z przyjemnością, czemu więc miałbym je taić? Owszem, przekonuję się, że one przywiązują ich tym bardziej do Zgromadzenia.

– I ja przekonałem się o tym – przerwał ks. Barberis – jak wielce pożyteczne i zbawienne są te sny. Nawet opowiadane gdzie indziej robią dużo dobrego. Gdzie Ksiądz Bosko jest znany, tam się je opowiada, jak jego sny, a gdzie jest nieznany, tam służą one dobrze, jako symboliczne przypowieści. O gdyby tak można sporządzić ich zbiór i wykorzystać właśnie, jako przykłady alegoryczne w kazaniach. Byłyby one poszukiwane i czytane tak przez małych jak wielkich, przez młodych i starych z wielką korzyścią dla ich dusz.

– Tak, tak zrobiłyby dużo dobrego, jestem o tym głęboko przekonany.

– Wielka szkoda – zauważył z żalem ks. Barberis – że ich nikt nie spisuje.

– Ja, ciągnął dalej Ksiądz Bosko- nie mam czasu, a wielu już nie pamiętam nawet.

– Te, które ja sobie przypominam – podchwycił ks. Barberis – to są sny, które odnoszą się do rozwoju Zgromadzenia pod płaszczem Madonny...

– Ach tak – zawołał Ksiądz Bosko – i zaraz kilka z nich przypomniał.

Następnie z miną poważną i z pewnym niepokojem dodał:

– Kiedy myślę o swej odpowiedzialności w warunkach, w jakich się znajduję, cały drżę... Jakiż straszny rachunek będę musiał zdać przed Bogiem z tych wszystkich łask, jakich nam udziela dla rozwoju naszego Zgromadzenia.

(MB IT XII, 40-51/MB PL XII, 25-33)

Zdjęcie: [shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Dom Salezjański w Castel Gandolfo

Wśród zielonych pagórków Wzgórz Rzymskich i spokojnych wód Jeziora Albano, wznosi się miejsce, gdzie historia, natura i duchowość spotykają się w wyjątkowy sposób: Castel Gandolfo. W tym kontekście bogatym w pamięć o starożytnym Rzymie, wiarę chrześcijańską i piękno krajobrazu, obecność salezjańska stanowi pewny punkt gościnności, formacji i życia duszpasterskiego. Dom Salezjański, ze swoją działalnością parafialną, edukacyjną i kulturalną, kontynuuje misję św. Jana Bosko, oferując wiernym i odwiedzającym doświadczenie żywego i otwartego Kościoła, zanurzonego w środowisku, które zaprasza do kontemplacji i braterstwa. Jest to wspólnota, która od prawie wieku służy Ewangelii w samym sercu tradycji katolickiej.

Miejsce pobłogosławione historią i naturą

Castel Gandolfo to perła Wzgórz Rzymskich, położone około 25 km od Rzymu, zanurzone w naturalnym pięknie Wzgórz Albańskich i z widokiem na malownicze Jezioro Albano. Położone na wysokości około 426 metrów n.p.m. miejsce to wyróżnia się łagodnym i przyjemnym klimatem, mikroklimatem, który wydaje się przygotowany przez Opatrzność, aby przyjąć tych, którzy szukają wytchnienia, piękna i ciszy.

Już w czasach rzymskich terytorium to było częścią *Albanum Caesaris*, starożytnej posiadłości cesarskiej, często odwiedzanej przez cesarzy od czasów Augusta. Jednak to cesarz Tyberiusz jako pierwszy osiedlił się tu na stałe, a później Domicjan zbudował tu wspaniałą willę, której pozostałości są do dziś widoczne w ogrodach papieskich. Chrześcijańska historia tego miejsca zaczyna się od darowizny Konstantyna dla Kościoła w Albano: gestu, który symbolicznie oznacza przejście od imperialnej chwały do światła Ewangelii.

Nazwa Castel Gandolfo pochodzi od łacińskiego *Castrum Gandulphi*, zamku zbudowanego przez rodzinę Gandolfi w XII wieku. Kiedy w 1596 roku zamek przeszedł na własność Stolicy Apostolskiej, stał się letnią rezydencją papieża, a związek między tym miejscem a posługą Następcy Piotra stał się głęboki i trwały.

Obserwatorium Watykańskie: kontemplować niebo, by chwalić Stwórcę

Szczególne znaczenie duchowe ma Obserwatorium Watykańskie, założone przez papieża Leona XIII w 1891 roku i przeniesione w latach 30. do Castel Gandolfo z powodu zanieczyszczenia światła w Rzymie. Świadczy ono o tym, jak również nauka, gdy jest ukierunkowana na prawdę, prowadzi do chwalenia Stwórcy. Przez lata Obserwatorium przyczyniło się do ważnych projektów astronomicznych, takich jak *Carte du Ciel* i odkrycia wielu obiektów niebieskich.

Wraz z dalszym pogorszeniem warunków obserwacyjnych, także na Wzgórzach Rzymskich, w latach osiemdziesiątych działalność

naukowa przeniosła się głównie do Obserwatorium Mount Graham w Arizonie (USA), gdzie *Vatican Observatory Research Group* kontynuuje badania astrofizyczne. Castel Gandolfo pozostaje jednak ważnym ośrodkiem studiów: od 1986 roku co dwa lata odbywa się tu *Vatican Observatory Summer School*, przeznaczone dla studentów i absolwentów astronomii z całego świata. Obserwatorium organizuje również specjalistyczne konferencje, wydarzenia o charakterze popularyzatorskim, wystawy meteorytów oraz prezentacje materiałów historycznych i artystycznych o tematyce astronomicznej, wszystko w duchu badań, dialogu i kontemplacji tajemnicy stworzenia.

Kościół w sercu miasta i wiary

W XVII wieku papież Aleksander VII powierzył Gian Lorenzo Berniniemu budowę kaplicy pałacowej dla pracowników Willi Papieskich. Projekt, początkowo przeznaczony ku czci św. Mikołaja z Bari, został ostatecznie poświęcony św. Tomaszowi z Villanova, augustinianinowi kanonizowanemu w 1658 roku. Kościół został konsekrowany w 1661 roku i powierzony Augustianom, którzy zarządzali nim do 1929 roku. Po podpisaniu Traktatów Laterańskich, papież Pius XI powierzył tym samym Augustianom opiekę duszpasterską nad nową Papieską Parafią św. Anny w Watykanie, natomiast kościół św. Tomasza z Villanova został później powierzony Salezjanom.

Piękno architektoniczne tego kościoła, owoc barokowego geniuszu, służy wierze i spotkaniu Boga z człowiekiem: dziś odbywają się tu liczne śluby, chrzty i inne liturgie, przyciągając wiernych z całego świata.

Dom Salezjański

Salezjanie są obecni w Castel Gandolfo od 1929 roku. W tamtych latach miasteczko przeżywało znaczny rozwój, zarówno demograficzny, jak i turystyczny, dodatkowo dzięki rozpoczęciu papieskich uroczystości w kościele św. Tomasza z Villanova. Co roku, w uroczystość Wniebowzięcia NMP, papież odprawiał Mszę Świętą w papieskiej parafii. Tradycję zapoczątkował św. Jan XXIII 15 sierpnia 1959 roku, kiedy to wyszedł pieszo z Pałacu

Papieskiego, aby celebrować Eucharystię wśród ludzi. Zwyczaj ten utrzymywał się do pontyfikatu papieża Franciszka, który przerwał letnie pobyty w Castel Gandolfo. W 2016 roku cały kompleks Willi Papieskich został przekształcony w muzeum i otwarty dla publiczności.

Dom Salezjański należał do Inspektorii Rzymskiej, a od 2009 do 2021 roku do Okręgu Salezjańskiego Włoch Centralnych. Od 2021 roku przeszedł pod bezpośrednią zarząd Domu Generalnego, z dyrektorem i wspólnotą mianowanymi przez Przełożonego Generalnego. Obecnie salezjanie pochodzą z różnych krajów (Brazylia, Indie, Włochy, Polska) i są aktywni w parafii, kapelaniach i oratorium.

Przestrzenie duszpasterskie, choć należą do Państwa Watykańskiego i są uważane za tereny eksterytorialne, są częścią diecezji Albano, w której życiu duszpasterskim Salezjanie aktywnie uczestniczą. Są zaangażowani w diecezjalną katechezę dla dorosłych, nauczanie w diecezjalnej szkole teologicznej oraz w Radzie Kapłańskiej jako przedstawiciele życia konsekrowanego.

Oprócz parafii św. Tomasza z Villanova, Salezjanie zarządzają również dwoma innymi kościołami: Marii Wspomożycielki (zwanej również „San Paolo”, od nazwy dzielnicy) i Matki Bożej *del Lago*, której budowę zainicjował św. Paweł VI. Oba zostały zbudowane w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, aby sprostać potrzebom duszpasterskim rosnącej społeczności.

Kościół parafialny zaprojektowany przez Berniniego jest dziś miejscem licznych ślubów i chrztów celebrowanych przez wiernych z całego świata. Co roku, za odpowiednimi zezwoleniami, odbywają się tu dziesiątki, a czasem setki, uroczystości.

Proboszcz, oprócz kierowania wspólnotą parafialną, jest również kapłanem Willi Papieskich i duchowo towarzyszy pracownikom watykańskim, którzy tam pracują.

Oratorium, obecnie zarządzane przez świeckich, angażuje bezpośrednio Salezjanów, zwłaszcza w katechezie. W weekendy, święta i podczas letnich aktywności, takich jak *Estate Ragazzi*, współpracują również studenci salezjańscy mieszkający w Rzymie, oferując cenne wsparcie. Przy kościele Maryi Wspomożycielki działa również teatr, z grupami parafialnymi organizującymi przedstawienia, będący miejscem spotkań, kultury i ewangelizacji.

Życie duszpasterskie i tradycje

Życie duszpasterskie wyznaczają główne święta roku: św. Jana Bosko w styczniu, Maryi Wspomożycielki w maju z procesją w dzielnicę San Paolo, święto Matki Bożej *del Lago* – a więc święto Jeziora – w ostatnią sobotę sierpnia, z figurą niesioną w procesji na łodzi po jeziorze. Ta ostatnia uroczystość coraz bardziej angażuje również okoliczne wspólnoty, przyciągając wielu uczestników, w tym wielu motocyklistów, z którymi nawiązano spotkania.

W pierwszą sobotę września obchodzone jest święto patronalne Castel Gandolfo ku czci św. Sebastiana, z wielką procesją po mieście. Nabożeństwo do św. Sebastiana sięga 1867 roku, kiedy to miasto zostało oszczędzone od epidemii, która ciężko dotknęła sąsiednie miejscowości. Chociaż wspomnienie liturgiczne przypada 20 stycznia, lokalne święto obchodzone jest we wrześniu, zarówno na pamiątkę uzyskanej ochrony, jak i ze względów klimatycznych i praktycznych.

8 września obchodzone jest święto patrona kościoła, św. Tomasza z Villanova, zbiegające się z Narodzeniem Najświętszej Maryi Panny. Z tej okazji odbywa się również święto rodzin, skierowane do par, które zawarły związek małżeński w kościele Berniniego: są zapraszane do powrotu na wspólne nabożeństwo, procesję i spotkanie towarzyskie. Inicjatywa ta spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem i umacnia się z czasem.

Ciekawostka: skrzynka pocztowa

Obok wejścia do domu salezjańskiego znajduje się skrzynka

pocztowa, znana jako „Buca delle corrispondenze”, uważana za najstarszą wciąż używaną. Pochodzi z 1820 roku, dwadzieścia lat przed wprowadzeniem pierwszego znaczka pocztowego na świecie, słynnego *Penny Black* (1840). Jest to oficjalna skrzynka *Poste Italiane*, wciąż działająca, ale także wymowny symbol: zaproszenie do komunikacji, dialogu, otwarcia serca. Powrót papieża Leona XIV do jego letniej siedziby z pewnością zwiększy jej znaczenie.

Castel Gandolfo pozostaje miejscem, gdzie Stwórca przemawia przez piękno stworzenia, głoszone Słowo i świadectwo wspólnoty salezjańskiej, która w prostocie stylu Księdza Bosko nadal oferuje gościnność, formację, liturgię i braterstwo, przypominając tym, którzy przybywają na te ziemie w poszukiwaniu pokoju i spokoju, że prawdziwy pokój i spokój można znaleźć tylko w Bogu i Jego łasce.